

Człowiek zajęty niesłychanie

Marcin Kruk

1

Zdarzyło się w Janowiepawłowie Małym coś, co całe miasteczko postawiło na nogi. Wszystkie nici prowadziły do gimnazjum im. Jana Pawła II mieszczącego się przy ulicy Jana Pawła II, ale tam się również szlak urywał. Otóż pewnego styczniowego poranka, do drzwi kościoła im. Najświętszej Marii Panny dużym, żelaznym gwoździem przybita została kartka z „Tezami Gimnazjalnego Koła Badaczy Owadzych Nogów”. Zauważyła ją o godzinie 6.28 Natalia Ćwierciakowska, która przyszła się pomodlić, a której uwagę zwrócił ów wielki zarzewiały gwóźdź.

Natalia Ćwierciakowska nie mogła odczytać „Tez Gimnazjalnego Koła Badaczy Owadzych Nogów”, gdyż nie zabrała ze sobą okularów, była jednak pewna, że ksiądz nie przybijałby żadnego ogłoszenia takim gwoździem. Udała się zatem do mieszkania księdza, który wyszedł i razem z nią podszedł do drzwi kościoła.

Ksiądz Wałach był bardzo wzburzony zarówno z powodu treści rzeczonych tez, jak i z powodu uszkodzonych drzwi. Nie zdoławszy wyrwać gołą dłonią olbrzymiego gwoźdź, ostrożnie wyrwał kartkę i wezwał komendanta lokalnego posterunku policji, który włożył ją do plastikowej torebki i zabrał celem sprawdzenia, czy zachowały się na niej jakieś odciski palców. Tezy podpisane były u dołu przez niejakiego Piotra Płaksina, ale ani ksiądz nie pamiętał takiego nazwiska wśród wiernych, ani komendant nie kojarzył go z żadnym przestępcą.

Komendant wyrwał obcęgami gwóźdź i obejrzał miejsce przestępstwa. Jego zdaniem ktoś nawiercił wiertarką bezprzewodową albo ręcznym świdrem drzwi kościoła, żeby uniknąć hałasu, a następnie wcisnął gwóźdź w otwór. Wskazywały na to trociny leżące na progu kościoła. Innych śladów nie znaleziono.

Ksiądz Wałach udał się jak zwykle na ósmą do szkoły gdzie codziennie prowadził katechezę, jednak tego dnia odwołał lekcję religii z klasą 3b i poprosił dyrektora o rozmowę. Informację o treści „Tez Gimnazjalnego Koła Badaczy Owadzych Nogów” przekazał ustnie i stanowczo zażądał wyjaśnienia tego zajścia oraz znalezienie ucznia podpisującego się pseudonimem Piotr Płaksin.

– Domyśla się pan – powiedział ksiądz do dyrektora – że to nie tylko groźny wandalizm, ale prawdopodobnie ateistyczna konspiracja, którą trzeba zdusić w zarodku. Uczciwie mówiąc – dodał – podejrzewam, że może stać za tym któryś z nauczycieli, albo ktoś z rodziców. Nasza młodzież nie mogłaby niczego takiego wymyślić.

Dyrektor przypomniał sobie ile razy ksiądz narzekał na niesforność uczniów, wiedział również, że nie może tego tak zostawić. Miał niejasne przecucie, iż gdzieś już spotkał się z określeniem „badacze owadzych nogów” jak i z nazwiskiem Piotra Płaksina.

Po wyjściu księdza wbił obydwie hasła w Google. Określenie „badacze owadzych nogów” jedni przypisywali poecie Miłoszowi, a inni znowuż Gałczyńskiemu. Wiersz „Satyra na bożą krówkę” nie pozostawiał jednak wątpliwości i zapewne noblista cytował kolegę po muzie. Również Płaksin pochodził z literatury więc poszukiwania należało rozpocząć od polonistek.

Dyrektor przez moment rozważał możliwość rozmowy w gabinecie, ale w końcu zdecydował się na przeprowadzenie bardziej ostrożnego rozeznania. Zaczął od grupki uczniów stojących na korytarzu.

– Płaksin, słyszeliście coś o nim – zapytał.

Uczniowie zaprzeczyli stanowczo i widać było, że chyba rzeczywiście nic im Płaksin nie mówił.

W chwilę później rozpromienił się, kiedy zobaczył młodszą z polonistek.

– Świetnie, że panią widzę, pani Basiu. Czy przerabiała pani z uczniami „Chandré Unyńską”.

– Jaką chandré – uśmiechnęła się pani Basia ukazując ogrom trapiącej jej niepewności.

– Unyńską – odpowiedział dyrektor – jest taki wiersz Tuwima. Niektórzy poloniści wprowadzają na lekcjach trochę lżejszych utworów poetyckich.

– Czyli wprowadzić – zapytała pani Basia.

– Niekoniecznie, tak pytam z ciekawości. „Satyry na bożą krówkę” też pani nie przerabiała?

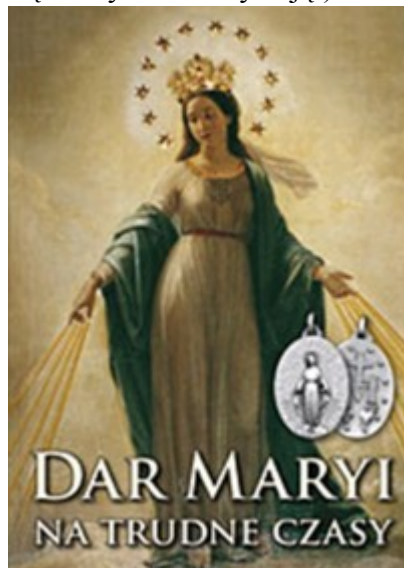
Tym razem polonistka zaniepokoiła się na poważnie.

– Panie dyrektorze, przecież pan wie, że zawsze trzymam się programu. Żadnych takich treści na moich lekcjach nie było.

Dyrektor zapewnił, że nie ma powodów do niepokoju, ale zdawał sobie sprawę, że zaraz zaczną się plotki w pokoju nauczycielskim i dalsze śledztwo może być utrudnione. Zawrócił do gabinetu, a po drodze poprosił jednego z uczniów, żeby pani Piasecka zajrzała do niego na kolejnej przerwie.

W gabinecie sekretarka poinformowała go, że dzwonili z kuratorium, zapowiadając na wtorek wizytację.

– Sukinsyn – mruknął pod nosem, przekonany, że ksiądz zdążył już skontaktować się z kuratorium. Najważniejsze wydawało mu się teraz zbadanie, czy za tym wszystkim nie stoi biolog. Biolog jeszcze w zeszłym roku nalegał na zakup nowego mikroskopu z kamerą do komputera i to on bez wątplenia był inspiratorem badania owadzych nogów. (Nóg, poprawił się w myślach z irytacją.)



Co do cholery można mówić dzieciom o owadzych nogach, zastanawiał się, czując, że cała ta sprawa może być poważniejsza niż mogło by się wydawać. Zastanawiając się co dalej, wbił w komputer hasło „owadzie nogi”. Tysiące stron. Otworzył pierwszą z brzegu, „robale.pl”. Suchą informację o budowie owadów zdobiło na końcu kolorowe zdjęcie z cudownym medalikiem Matki Boskiej na Trudne Czasy.

Spojrzał na plan, zobaczył, że biolog ma trzecią lekcję wolną i uświadomił sobie, że miał popracować nad budżetem szkoły.

Piasecka weszła do jego gabinetu bez pukania i zażądała wyjaśnienia. Wyjaśnił jej, że chwilowo nie może niczego wyjaśnić, ale chciałby się dowiedzieć, czy przerabiała z dziećmi

„Chandrę Unyńską” albo „Satyrę na bożą krówkę”. Nie zdziwił się, kiedy zaprzeczyła i zatopił się w myślach.

– Wyglądasz na zmartwionego – powiedziała, a ponieważ nie odpowiedział, odwróciła się i wyszła, co uświadomiło mu, że popełnił kolejny błąd wyzwalając niekończącą się falę domysłów. Przez chwilę próbował skoncentrować się na budzecie, by znów powrócić do komputera i hasła „owadzie nogi”. Zatopił się w artykule o ewolucji pajaków, ale po chwili powrócił do budżetu szkoły, zdecydowany, że sprawa owadzych nogów nie może mu przeszkadzać w pracy. Poprosił sekretarkę, żeby pan Leszczyński do niego zajrzał i zdecydowanym ruchem sięgnął po kalkulator. Przejrzał kosztorys remontu sali gimnastycznej i sięgnął po ostatnie pismo kuratorium. „Więcej dyscypliny i patriotyzmu” – nakazywał kurator. Satyra na bożą krówkę – skomentował w myślach i zapytał sekretarki, czy mówili co właściwie wizytatorka chce sprawdzać. Nie mówili.

Kiedy Leszczyński zapukał do drzwi jego gabinetu dyrektor ponownie koncentrował swoją uwagę na kosztorysie remontu.

– Niech pan siada, panie Krzysztofie – przywitał biologa. Odchylił się na krześle, splótł dłonie i zastanawiał się przez chwilę, jak tę rozmowę przeprowadzić.

– Kółko – powiedział – pana kółko biologiczne, ilu uczniów w nim uczestniczy?

– Różnie – odpowiedział biolog – zazwyczaj przychodzi dziesięć do piętnastu osób, nikogo nie zmuszam. Dlaczego pan pyta?

– To pewnie dobrzy uczniowie.

– Powiedziałbym, że najlepsi. A o co chodzi?

– Czy mówi panu coś nazwa „Gimnazjalne kółko badaczy owadzych nogów”?

Biolog roześmiał się – Dzieciaki mogą tak to nazywać, nigdy tego nie słyszałem.

– A nogi pan pokazywał, to znaczy owadzie nogi?

Biolog przyglądał mu się z rozbawieniem i zaniepokojeniem. Po chwili przyznał, że owszem, że pokazywał, ale tylko jedną, nogę muchy, która była na jednym z preparatów kupionych razem z mikroskopem.

– Obawiam się, że muszę panu powiedzieć o co chodzi, ale chwilowo proszę o dyskrecję. Widzi pan, dziś rano, na drzwiach naszego kościoła znaleziono kartkę z tezami „Gimnazjalnego koła badaczy owadzych nogów”.

– Chce pan powiedzieć... – zaczął biolog.

– Chcę powiedzieć, że Janowopawłowo to nie Wittenberga i obawiam się, że któryś z uczniów, a może i ktoś z nauczycieli może być w kłopotcie. Czy pan się orientuje, kto może za tym stać?

Biolog w milczeniu pokręcił głową. Najwyraźniej dotarła do niego powaga sytuacji. Zapytał co było w tych tezach. Dyrektor odpowiedział, że on tego nie widział, kartka jest u komendanta policji, ksiądz Marek poinformował go, że było hasło: mniej religii więcej wiedzy, coś po angielsku, czego nie rozumiał i coś tam, że chcemy znać całą prawdę o naszych wspólnych genach z bananem.

– Wygląda na jakieś niewinne głupoty – powiedział biolog.

– Może i głupoty, ale uszkodzone drzwi kościoła, włączona policja, kuratorium, a pewnie i burmistrz... przede wszystkim musimy pierwsi dotrzeć do tego ucznia, czy uczniów. Ma pan jakieś podejrzenia?

– Myśli pan, że to ktoś z mojego kółka? Przecież to wszystko jest niepoważne.

– Zastanówmy się, który z nich mógł wpaść na taki pomysł? Im szybciej znajdziemy winowajcę, tym szybciej da się to jakoś wszystko wyciszyć.

– To nie mógł być nikt z mojego kółka – oświadczył biolog – znam te dzieciaki i absolutnie w to nie wierzę.

Dyrektor po chwili milczenia zapytał czy Leszczyński zdaje sobie sprawę z tego, że będą tu również zarzuty pod jego adresem, że będzie potrzeba znalezienia kogoś winnego nie tylko

wśród uczniów. W jakich stosunkach jest pan z księdzem Markiem?

– Przecież to paranoja, co mają do tego moje stosunki z księdzem Markiem?

– Więcej niż pan sądzi, ksiądz Marek może sugerować, że za tym wszystkim stoi ktoś z nauczycieli, on to już głośno powiedział.

– Jak to głośno powiedział, czy to znaczy, że mnie oskarżył?

– Kartka została podpisana pseudonimem Piotr Płaksin. Czy któryś z pana uczniów interesuje się poezją?

Biolog odpowiedział, że nie wie, czy któryś z uczniów interesuje się poezją, ani który chciałby grać na klarnecie ale, że jego zdaniem cała ta sprawa zakrawa na kabaret. Poszukiwanie winnego nie ma tu sensu, najlepiej to zlekceważyć.

– Obawiam się, że nie ma pan racji, i to wcale nie chodzi o ratowanie własnego tyłka. Wolałbym sam ukarać winnego zanim za karanie zabiorą się inni.

W domu dyrektor opowiedział o wszystkim żonie, mając nadzieję, że może coś wymyśli. Ania jak zawsze domagała się bardzo szczegółowych informacji, nie tylko o tym co i kto powiedział, ale również o wrażeniach męża po każdej rozmowie. Już przy kawie wyraziła swoją opinię, że jej zdaniem winny czy winna nie należy do kółka biologicznego.

– Ślad naprowadzający jest zbyt krzyżący – powiedziała – Nikt, nawet największy głuptas, który chciałby się ukryć, nie popełniłby takiego błędu. To może być były członek kółka, a jeszcze bardziej prawdopodobne, że jest to jakiś porzucony chłopak lub dziewczyna kogoś z kółka. Ich namiętności i ich obolałe ego to mieszanka wybuchowa. Oczywiście nikt ci nie opowie prawdy o ostatnich dramatach miłosnych w trzecich klasach, tyle, że możesz spokojnie poprzeć Krzysia i bronić jego tezy, że tego prawie na pewno nie zrobił nikt z jego kółka.

– Boję się, że ksiądz Marek będzie żądał głów, pewnie już jutro będę miał na łbie oburzonych rodziców.

Ania przypomniała sobie o ciasteczkach, więc postawiła je na stole i gryząc toruńskiego piernika powiedziała, że jej zdaniem powinien jako dyrektor być bardzo przejęty. Porozmawiać z uczniami, może nawet wezwać całą szkołę do sali gimnastycznej i powiedzieć, że stało się bardzo źle, że to niedopuszczalny wandalizm, i że nie wiemy, czy to zrobił ktoś ze szkoły, czy spoza szkoły, a potem sprawa przyschnie i wszyscy o tym zapomną.

– Byle to nie dotarło do prasy – westchnął dyrektor, siadając przed telewizorem. Widać powiedział w złą godzinę, bo w piętnaście minut później zadzwonił telefon. Dzwoniła dziennikarka lokalnej gazety, która otrzymała poruszającą informację o zniszczonych drzwiach kościoła.

Dyrektor powiedział, że zniszczenia są raczej niewielkie, że ograniczają się do małego otworu o średnicy około pięciu milimetrów, chociaż on zna właściwie sprawę tylko z relacji księdza.

– Ale podobno zamieszana jest w to młodzież z gimnazjum – dopytywała dziennikarka.

– To wcale nie jest pewne – odpowiedział dyrektor – ktoś przybił do drzwi kościoła jakąś kartkę, sugerując, że to uczeń, czy uczniowie gimnazjum. Domyśla się pani, że sprawca albo podpisałby się imieniem i nazwiskiem, albo nie zostawiał tak wyraźnego śladu. Mamy tu raczej do czynienia z próbą wprowadzenia w błąd.

– Ale sprawę bada policja?

– Istotnie, chwilowo nic jednak nie wskazuje na uczniów naszego gimnazjum, raczej przeciwnie.

Dziennikarka najwyraźniej jednak doskonale wiedziała, że zniszczenia ograniczały się do dziury po gwoździu, bo powiedziała, że podobno na tej kartce były jakieś straszne bluźnierstwa.

– Autor, czy może autorzy – odpowiedział dyrektor – podobno domagał się całej prawdy o naszych wspólnych genach z bananem...

Dziennikarka parsknęła śmiechem i zapytała czy tylko to było na kartce przybitej do drzwi kościoła.

– Proszę mnie o nic nie pytać, bo ja znam treść tej kartki tylko z drugiej ręki. Po informacje na ten temat proszę się skierować do księdza Marka Wałacha z parafii Najświętszej Marii Panny.

– Czyli pan, panie dyrektorze uważa, że pana uczniowie raczej nie mieli z tym nic wspólnego?

– Proszę pani, będziemy oczywiście próbowali wyjaśniać całą sprawę, ale sądząc z faktu, że ktoś celowo próbował skierować uwagę na nasze kółko biologiczne, albo to jest wybryk skierowany przeciwko naszemu nauczycielowi biologii, albo przeciw uczniom z tego kółka, albo wreszcie ktoś uznał, że to dowcipne, ale mało prawdopodobne, żeby taki dowcipniś chciał sam sobie ściągnąć burzę na głowę.

– To znaczy jak próbowano skierować uwagę na wasze kółko biologiczne?

– No, ja tego nie widziałem, ale podobno tytuł brzmiał: „Tezy Gimnazjalnego Koła Badaczy Owadziach Nogów”

Dyrektor znowu usłyszał parsknięcie śmiechem. Dziennikarka zapytała, czy było tam coś, co obraża uczucia religijne. Ponownie powiedział jej, żeby zapytała księdza. Chciał się dowiedzieć, od kogo dostała informację, ale był przekonany, że i tam mu nie powie, więc postanowił, że im mniej będzie mówił, tym lepiej.

– Czy ktoś podpisał te ulotkę?

– Piotr Płaksin.

– Coś to panu mówi?

– Owszem, jest taki wiersz Juliana Tuwima.

Po zakończeniu rozmowy dyrektor spojrział na żonę, która w międzyczasie przyniosła mu kieliszek koniaku, a sobie naląła kieliszek słodkiej orzechówki. Miał wrażenie, że nad jego głowę gromadzą się coraz ciemniejsze chmury, a poranek może przynieść tsunami. Jak się zachowa burmistrz? Czy zażąda zwolnienia Leszczyńskiego? Musi działać, inaczej posądzą go, że sprzyja niewłaściwym elementom.

– To ty zaproponowałaś nadanie szkole nadanie imienia Jana Pawła II.

– Ale to burmistrz doprowadził do zmiany nazwy miasta z Bierutowa na Janowopawłowo. Dobrze wiesz jak to będzie wyglądać, jutro będzie artykuł o drzwiach kościoła zniszczonych przez wandalów z gimnazjum, potem ktoś zgłosi doniesienie o przestępstwie, bo obrażono jego uczucia religijne, policja będzie przesłuchiwać uczniów, a kuratorium zażąda zwolnienia Leszczyńskiego.

– Kraczesz – powiedziała Ania sącząc orzechówkę. – Czy ta dziennikarka rzeczywiście brzmiała jak idiotka?

– A co ona może napisać, przecież nikt tej kartki nie widział, więc musi ugotować zupę z gwoźdźca. Masz rację, rano zacznę przesłuchania, a potem ściągnę wszystkie klasy do sali gimnastycznej. Muszę uderzyć pięścią w stół, bo inaczej mnie ktoś przyłoży.

– Myślisz, że Wałach powiedział ci wszystko co było na tej kartce?

– Jeden Bóg wie, jeden Bóg wie, ale jutro będę miał pracowity dzień, następne pewnie też.

2

Dyrektor brnął przez zabłocone podwórko, zastanawiając się nad strategią. Najpierw dyspozycje w sprawie apelu całej szkoły, potem rozmowa z tymi badaczami owadziach nogów. Pojedynczo, czy razem? Jeśli Ania ma rację, żadne śledztwo w szkole nie ma większego sensu... Spojrzął z niechęcią na ogromną kałużę utrudniającą dostęp do bramy. Odsunięty na boki śnieg szybko topniał, zmieniając całe podwórze w grząskie bagno. Od

dawna planował wyłożenie podwórza kostką, ale nigdy nie starczało na to pieniędzy.

Mimo, że był jeszcze styczeń, pogoda przypominała marzec. – Jak tak dalej pójdzie będzie można tutaj zakładać winnice – pomyślał, zastanawiając się, czy cofnąć się do garażu po cegły, czy raczej zaryzykować zamoczenie skarpetek. Ze względu na żonę, zdecydował się na ułożenie kilku cegieł umożliwiających przejście przez kałużę.

W garażu leżące pod ścianą cegły oplecione były pajęczyną. Zwinięty w środku pajęczyny pajak wydawał się być martwy. Dyrektor odsunął pajęczynę patykiem, wziął ostrożnie trzy cegły i ponownie skierował się do bramy.

Drogę do szkoły wypełniły mu gorączkowe myśli. Z której strony nadejdzie atak i jak się przed nim obronić? Komu do głowy przeszedł taki idiotyczny dowcip? Po co? Co taki gówniarz ma w głowie? Czy to miał być dowcip, złośliwość, czy może coś więcej? „Tezy Gimnazjalnego Koła Owadzych Nogów” – głupi dowcip, który musiał się narodzić w czyjejs pijanej głowie. Ale żeby na drzwiach kościoła? Dlaczego właśnie na drzwiach kościoła?

Z zamyślenia wyrwał go głos Piaseckiej, która biegła za nim wymachując gazetą. Na pierwszej stronie „Naszego Głosu” od razu zauważył wielki tytuł: „Wandalizm”.

– Czemu nie powiedziałaś mi o co chodzi? – zapytała Piasecka.

Dyrektor przebiegł wzrokiem treść artykułu. Tak jak się spodziewał, dziennikarka pisała o zniszczeniu drzwi kościoła przez nieznaną sprawców, cytowała go dokładnie, że nie bardzo wiadomo, co było na tej kartce, ale że wygląda to na grubymi nićmi szytą próbę ściągnięcia uwagi na uczniów gimnazjum.

Oddał gazetę i zapytał Piasecką o co pytała. Kiedy powtórzyła pytanie uśmiechnął się i powiedział, że sam wie za mało i że nie chciał powtarzać plotek.

– I co teraz zrobisz – zapytała.

– A co ty byś zrobiła – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Musisz przeprowadzić śledztwo, bo powiedzą, że lekceważysz sprawę.

Przepuścił ją w drzwiach szkoły, zastanawiając się, czy spojrzeć na stojącą w korytarzu grupkę uczniów z uśmiechem czy surowo. W takim dniu musi obowiązywać powaga i zatroskanie – postanowił, przyjmując postawę powagi i zatroskania.

W gabinecie na swoim biurku znalazł numer „Naszego głosu”. Musiał go tam położyć jakiś „życzliwy”. Odsunął gazetę z irytacją i sięgnął po listę członków kółka biologicznego. Szesnaście osób, dziesięć dziewcząt, sześciu chłopców. Dziewczyn takie pomysły się nie trzymają, więc raczej trzeba szukać wśród chłopców. Wpatrywał się w nazwiska przypominając sobie twarze. Postawił znak zapytania przy nazwisku Dąbrowskiego Pawła. Inteligentny, pyskаты, rodzice dobrze sytuowani. Małek, dobry uczeń, ale cichy i bez inicjatywy. Jasiński Ryszard, który to jest – zastanawiał się dyrektor i przypomniał sobie dość pewnego siebie, ale na ogół grzecznego dryblas. Doszedł do końca listy i znów zaczął się w nią wpatrywać od początku.

Usłyszał jak zadzwonił telefon i za chwilę sekretarka połączyła go z burmistrzem.

– Zdajesz sobie sprawę jak bardzo to może zaszkodzić naszemu miastu – zapytał burmistrz nie mówiąc nawet dzień dobry.

– Prowadzę śledztwo – odpowiedział – zrobimy co w naszej mocy, ale podejrzewam, że tego nie zrobił nikt z naszej szkoły.

– Ja bym nie był taki pewien. Dobrze by było, żeby winny znalazł się jeszcze dziś. Całe miasto się trzęsie. Od rana miałem kilka telefonów.

– Chodzi ci o te tezy gimnazjalnego koła badaczy owadzych nogów – upewnił się dyrektor.

– A o co innego, kuria jest bardzo zaniepokojona.

– Naprawa tej dziurki w drzwiach nie powinna być taka kosztowna.

Zapadła cisza i dyrektor zdał sobie sprawę z tego, że popełnił błąd. Powiedział, że za chwilę będzie rozmawiał z uczniami z kółka biologicznego, a o dwunastej będzie mówił o tym co się stało wszystkim uczniom w szkole.

– Doskonale wiesz, że nie chodzi o ten gwóźdź, nam tu ktoś próbuje robić koło ogona, to jest wywrotowa robota i tak czy inaczej trzeba złapać sprawców. Nie masz żadnych pomysłów kto to może być ten Płaksin? To na pewno jakiś uczeń tego Leszczyńskiego. Nie wiem, czy nie powinniśmy go zawiesić. Dla wrogów nie może być żadnej litości.

– Leszczyński to świetny nauczyciel...

– Musiał coś nakłść tym gówniarzom do łbów. Sami tego nie wymyślili, ktoś ich musiał podszczuć, a ten ktoś, to na pewno Leszczyński. Nie będziemy się tu pieścić. Dobrze by było, żeby jeszcze dziś coś było wiadomo. Ja za ciebie oczyma nie będę świecił.

Burmistrz i rzucił mięsem i rozłączył się bez pożegnania. Dyrektor wydał polecenie, żeby wszyscy uczniowie i nauczyciele zbrali się w sali gimnastycznej o dwunastej i ponownie zaczął oglądać listę członków kółka. A może jednak porozmawiać najpierw z którąś z dziewczyn? Malinowska Dominika, siostra Patrycji. Groszek Beata, córka nauczycielki. Tak, zaczniemy od niej.

W Biurze Opieki społecznej żona dyrektora prowadziła własne śledztwo. Kiedy tylko przysłała do pracy koleżanki chciały wiedzieć co było na tej kratce. Powiedziała im wszystko, co wiedziała i nawet z Ewą próbowały odtworzyć to na papierze. Ewa upewniała się, czy naprawdę mamy jakieś wspólne geny z bananem i dała do zrozumienia, że jest temu przeciwna. Pani Magda, która była najstarsza i niejedno widziała, machnęła ręką – E tam, dzieciaki nie lubią religii i drażnią się z księdzem – powiedziała – ten wielki zardzewiały gwóźdź, to przecież wyraźna prowokacja. Trzeba by się dowiedzieć komu ksiądz Marek dokuczył.

– A coś pani wie, pani Magdo – zapytała Ania.

– Siostrzenica mi mówiła, że potrafi trzepnąć. Pewnie nic poważnego, ale teraz młodzież na takie rzeczy patrzy inaczej.

– To przez ten Internet – powiedziała Ewa.

– Burmistrz wściekły, bo ksiądz kręci połową rady – powiedziała Justyna, która przyjaźniła się z sekretarką burmistrza.

Żona dyrektora wyciągnęła teczkę wizyt w terenie i wysłała esemesa do Halinki z pytaniem, czy może wpaść do niej na lunch na dwunastą. Halina, żona właściciela żwirowni, była osobą najlepiej poinformowaną w mieście, łączyło je wspólne zainteresowanie lokalną historią.

Dyrektor spojrział na stłoczoną w sali gimnastycznej młodzież. Na kilku twarzach zauważył kpiące uśmiechy, inne miały wyraz oczekiwania. Stojący pod ścianą ksiądz Marek nie spuszczał go z oka. Wziął do ręki mikrofon i odczekał aż wszyscy się uspokoją.

Mam nadzieję, że wszyscy wiedzą, dlaczego was tu wezwałem – zaczął. Szkoła to nie jest tylko miejsce nauki, szkoła ma również wychowywać, przygotowywać do życia w społeczeństwie, w rodzinie, w lokalnej społeczności. Zdarzyła się w naszym mieście rzecz niesłychana i oburzająca, coś, co nigdy nie powinno się zdarzyć. Nie wiemy jeszcze kto to zrobił, ale mam nadzieję, że nie zrobił tego żaden uczeń naszej szkoły, chociaż na pewno ktoś próbował skierować podejrzenia na nasze gimnazjum. Być może komuś się wydawało, że to dobry dowcip, może nie zdawał sobie sprawy z tego, że robi źle, że obraża uczucia, a co więcej, iż podejrzeni o ten obrzydliwy czyn będą również ludzie całkowicie niewinni.

Rzucono tu podejrzenia na wszystkich członków naszego kółka biologicznego, na naszego nauczyciela biologii, na całe nasze gimnazjum.

Być może ktoś sądził, że to niewinny dowcip, może ktoś chciał zrobić na złość księdzu

Markowi, albo zemścić się na szkole, nie wiem, wiem, że ten ktoś powinien mieć cywilną odwagę i się przyznać.

Każdy z was będzie nie jeden raz w życiu w podobnej sytuacji, tak się zdarza, że człowiek coś robi, dla dowcipu, czy z głupoty, czy z jakiegokolwiek innego powodu i nagle zdaje sobie sprawę z tego, że zrobił komuś krzywdę i wówczas trzeba mieć odwagę, żeby przyjąć na siebie odpowiedzialność.

Rozmawiałem już z waszymi kolegami z kółka biologicznego, nie ze wszystkimi, mówiłem im, że nie namawiam nikogo do donosów, ale jeśli wiecie kto to zrobił, porozmawiajcie z tą osobą i namówcie ją, żeby się przyznała.

Przez chwilę dyrektor przyglądał się sali, jakby chciał sprawdzić, czy jego słowa robią na słuchaczach jakiegokolwiek wrażenie. Nie sądził, żeby sprawca się ujawnił, ale zdawało mu się, że to jedyne co może im powiedzieć. Ponownie przysunął mikrofon do ust.

To co tu mówię, nie oznacza, że nie będziemy prowadzili śledztwa i jeśli odnajdziemy sprawcę tego wandalizmu, będzie ukarany znacznie bardziej niż gdyby przyznał się sam. Jeśli ktoś uważa to za świetny żart, to się myli, dlatego, że był to wandalizm, dlatego, że obraża to uczucia ludzi, dlatego, że komuś może to zaszkodzić. Tak więc, jeśli winny jest na tej sali, chcę powiedzieć, że moje drzwi są otwarte, Jestem gotów do rozmowy, a co więcej, będę starał się okazać zrozumienie. Głupstwa zdarzają się każdemu. Pamiętajcie, warto być uczciwym, nawet jeśli człowiek coś zbroi, a potem obawia się konsekwencji. Powtarzam raz jeszcze, jeśli winny jest na tej sali, mam nadzieję, że się do mnie zgłosi. Dziękuję. Możecie wrócić do klas.

Uczniowie stali jeszcze przez chwilę, jakby nie wierząc, że spotkanie się skończyło. Powoli, w milczeniu rozchodzili się do klas. Zaczęły się rozmowy, ktoś się roześmiał. Piasecka pochyliła się do niego i powiedziała, że lepiej nie mógł tego powiedzieć. Na jej twarzy dostrzegł jednak jakiś złośliwy uśmiech. Powiedziała, że chce mu coś powiedzieć i ruszyła z nim do jego gabinetu. Zatrzymał ich ksiądz Marek.

– Nie wydaje mi się, żeby tak łagodne potraktowanie tej sprawy było właściwe. Może pan o tym nie wie, ale młodzież uważa, że to był doskonały kawał.

Piasecka odwróciła głowę do okna. Dopiero w gabinecie, kiedy zamknął za sobą drzwi, niespodziewanie wybuchła śmiechem.

– Wiesz czemu on jest taki wściekły – zapytała.

Dyrektor spojrział na nią niepewnie. W zasadzie wiedział dlaczego ksiądz Marek był wściekły, ale najwyraźniej chodziło tu o coś więcej.

– W 3a, na religii cała klasa miała na ławkach banany.

– Dąbrowski – powiedział dyrektor przez zaciśnięte zęby – ja mu, ja mu... Kiedy z nim rozmawiałem, zdawało mi się, że był rozbawiony. Przysięgał, że nic nie wie, myślałem, że może czegoś się domyśla, a ten skurczybyk podbechtał całą klasę.

– I co mu zrobisz? Możesz powiedzieć, że nie wolno trzymać jedzenia na ławkach podczas lekcji. Co innego możesz im powiedzieć?

– Wiesz może jak ksiądz Marek zareagował?

– Podobno krzyczał, że wie kto to zrobił, ale nie bardzo było wiadomo, czy chodzi mu o tezy, czy o banany. Obawiam się, że teraz coraz częściej nie będziemy wiedzieli, kto i o czym mówi. Jest jeszcze gorzej, bo na kolejnej lekcji w 2a przed religią napisali na tablicy Dzień Solidarności z Bananem.

– I co?

– Nie wiem dokładnie, ale Wałacha poniosło i podobno okropnie ich zwymyślał.

– Niech nas Bóg ma w swojej opiece, to się teraz tak łatwo nie skończy.

W tym samym czasie Ania stawiała na stole w kuchni omlet z groszkiem i kieliszki z winem. Halinka od drzwi powiedziała, że dzieciaki mają radochę.

– Rozmawiałś z Pawłem – zapytała Ania.

– Rozmawiałam, to nie oni.

– Jesteś pewna?

– Na sto procent, Oni też w głowę zachodzą kto to zrobił. To musi być ktoś z miasta, kto nie kocha Wałacha. Może jakaś laska, którą przeleciał.

– Co ty?

– A co, nie wiesz, święty, święty póki nie ma rąk jakimiś cyckami zajętych.

– Wiesz coś?

– O Kasi z biblioteki wiem prawie na pewno, a mówią, że było dużo więcej.

Ania przypomniała sobie twarz bibliotekarki, z którą lubiła czasem porozmawiać, ale która zupełnie nie kojarzyła jej się z bohaterką romansów. Cicha okularnica, ze smutną twarzą przeżuwa. Mogła dostrzec w Wałachu księcia z bajki, ale z pewnością nie była miłośniczką pajaków.

– To zły trop – powiedziała – coś jej nie widzę bawiącej się w Lutra po nocach. Masz jakiś inny pomysł?

– Może uzależniony filozof?

– Maciuś?

– No a kto? Studia wyższe, bezrobotny, ateista, alkoholik z poczuciem humoru. Idealny profil przestępcy. Mógłby to zrobić.

– Ale dlaczego miałby rzucać podejrzenia na uczniów gimnazjum?

– Albo miał jakiś powód, albo taką fantazję. Ludzie przeceniają powody a niedoceniają fantazji, jakby dzieci nie mieli. Tak mu przyszło do głowy i długo się nie zastanawiał.

– To nawet ciekawy pomysł, ale jak to sprawdzić?

Halinka nie miała pomysłu jak to sprawdzić, ale była przekonana, że trop uzależnionego filozofa jest najbardziej obiecujący. Ostatecznie to musiał zrobić ktoś, kto nie lubi establishmentu. Profil Maćka pasował tu idealnie. Chodził na wieczorki poetyckie, pił i nie znosił księży.

– Myślisz, że on lubi pajaki – zapytała Ania już w progu.

– A może dyskretnie zapytać Kasi jakie książki pożycza – zasugerowała Hania zapinając futro z królików.

Kontakt operacyjny sierżanta W. poinformował, że jeden z obszcymurków coś widział. Komendant przesłuchał świadka, który mówił:

Szłem rano Skargi do sklepu Klińczaka, bo tam rano najwcześniej otwierają. Piwa na kreskę nie dają, ale byłem w potrzebie, więc myślałem, że może kto użyczy kilka łyków. Tam zawsze jest rano kilku bliźnich, bo jedni piją przed robotą, a inni po nocy, to się czasem kto zlituje. Koło kościoła widziałem kogoś w kapturze i z białą torbą, Ciemno jeszcze było, to pomyślałem, że pewnie jaki młody wilczek myszkuje, bo oni tak nad ranem to lubią. Nie za duży był, taki mojego wzrostu.

Zapytany, czy to mogła być kobieta, odpowiedział, że to mogła być nawet Matka Boska, w szarym kapturze, ale się bliżej nie przyglądał, bo jak człowiek ma silną potrzebę, to raczej idzie tam, gdzie może coś dostać, a od tych w kapturach to można tylko w zęby dostać.

Zdaniem komendanta wniosek był taki, że być może sprawcą był młody człowiek około 170 cm wzrostu. Jednak widziany koło kościoła młody człowiek mógł również nie być sprawcą, ale mógł coś widzieć. Tyle, że młody człowiek w kapturze widziany koło kościoła o tej godzinie raczej się nie ujawni, bo tak czy inaczej niczego dobrego nie robił.

Kiedy dyrektor wrócił do domu Ania poinformowała go o podejrzeniach Halinki Dąbrowskiej. Fakt, że ksiądz Marek mógł mieć jakieś kontakty z kobietami nie wydał mu się specjalnie interesujący. Uważał, że dziewczyna, która daje się oczarować księdzu, nie może mieć za dużo rozumu. Co innego uzależniony filozof, takiemu różne rzeczy mogą przyjść do głowy. Przez chwila zastanawiał się głośno jak to sprawdzić, a potem opowiedział żonie o nieszczęściu z Leszczyńskim. Zaproponował biologowi, żeby poszedł na zwolnienie, ale biolog odpowiedział, że jest zdrowy i na żadne zwolnienie nie pójdzie.

– Tłumaczyłem mu, że ministrowie, sędziowie, dyrektorzy wielkich firm, wszyscy jak trzeba to chodzą na lipne zwolnienia, więc nie musi się tu bawić w świętego. Powiedziałem nawet, że mu sam to załatwię, a ten, że mowy nie ma i że jak będę go chciał wyrzucić to pójdzie do sądu, choćby nawet do Strasburga.

Tego dnia dyrektor wypił pół butelki koniaku, zdając sobie sprawę z tego, że w kolejnym dniu może potrzebować jeszcze więcej. Między Scyllą a Charybdą każda butelka wydaje się syreną.

3

W piątek rano wiadomość o zaistnieniu Lutra w Janowiepawłowie pojawiła się w Internecie. W ciekawostkach Onetu poinformowano, że tezy zostały przybite do drzwi kościoła, ale zabrała je policja, a na temat ich treści krążą sprzeczne doniesienia. Autor notatki pisał o swoich przypuszczeniach, że sprawcą może być ubiegający się o rejestrację Kościół Latającego Potwora Spaghetti.

O pojawieniu się tej informacji dyrektor dowiedział się z kuratorium, gdyż od rana zadzwoniła pani wizytator Dziubińska, pytając o stan realizacji akcji „Więcej dyscypliny i patriotyzmu”. Powiedział, że przygotowuje w tej kwestii specjalne posiedzenie Rady Pedagogicznej, na której przedyskutowane zostanie pismo kuratora oraz podjęte będą stosowne decyzje.

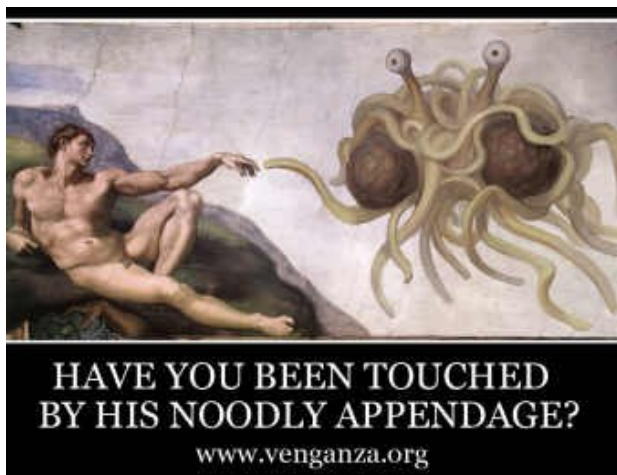
Dziubińska powiedziała mu, że kurator Kapusta polecił wizytatorom udzielenie wsparcia szkołom, które mogą mieć trudności w realizacji akcji „Więcej dyscypliny i patriotyzmu” i w związku z tym chciałaby odwiedzić szkołę we wtorek, koncentrując swoją uwagę na programie nauczania biologii.

Dyrektor zapewnił, iż nie sądzi aby jego szkoła miała trudności z realizacją akcji „Więcej dyscypliny i patriotyzmu”, ale w tym momencie wizytator Dziubińska stanowczo zaprotestowała.

– Mam tu zdecydowanie odmienne zdanie, panie dyrektorze, ostatnie wydarzenia, o których informuje już Internet, wskazują na poważne problemy, bynajmniej w zakresie dyscypliny.

– Ostatnie wydarzenia – przerwał jej dyrektor – najprawdopodobniej nie mają nic wspólnego z naszą szkołą.

– Na to nie ma żadnych dowodów, nawet przeciwnie – powiedziała pani wizytator, dodając, że ona nie wierzy, że to ten Latający Potwór.



Dyrektor wiedział o Pląksinie, ale nie wiedział nic o Latającym Potworze i dopiero teraz dowiedział się gdzie znajdowała się wzmianka o nieszczęsnym Lutrze.

– Byłoby wskazane – powiedziała Dziubińska – żeby we wszystkich klasach odbyły się lekcje wychowawcze poświęcone ostatnim wydarzeniom. Młodzież musi zrozumieć, że naruszone zostały wartości chrześcijańskie, a równocześnie będzie to właściwa okazja, żeby przypomnieć o związkach między wartościami chrześcijańskimi i patriotyzmem. Szczególnie kiedy są one podważana na pozornie neutralnych przedmiotach takich jak biologia. Bardzo proszę o przygotowanie informacji o wszelkich odstępstwach od programu nauczania biologii ministerstwa, będę też chciała obejrzeć zapisy w dziennikach. Przewiduję również hospitację jednej z lekcji pana Leszczyńskiego.

Po zakończeniu rozmowy dyrektor odłożył słuchawkę i zapatrzył się na wiszącego na ścianie orła. Przez chwilę przyglądał się podejrzliwie jego nogom, a potem, słysząc dzwonek na przerwę wstał i ruszył w kierunku pokoju nauczycielskiego. Miał niejasne przeczucie, iż wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że kryzys dopiero się rozpoczął.

W pokoju nauczycielskim były obydwie polonistki, historyk i wuefista. Powiesił na tablicy informację, że w możliwie najszybszym terminie we wszystkich klasach mają się odbyć lekcje wychowawcze na temat ostatnich wydarzeń, ze szczególnym uwzględnieniem poszanowania wartości chrześcijańskich. Piasecka przeczytała ogłoszenie i powiedziała, że nie rozumie, chciała również wiedzieć, czy drzwi kościoła są wartością chrześcijańską, czy wartością samą w sobie. Dyrektor spojrział na nią z irytacją i powiedział, że takie jest zalecenie kuratorium, z którym on nie zamierza dyskutować.

O godzinie dwunastej w południe notka w Onecie miała już ponad piętnaście komentarzy. Jeden z internautów proponował, aby noga pająka znalazła się w herbie miasta, inny, żeby Janowopawłowo zostało miastem bliźniaczym Wittenbergi, jeszcze inny, żeby Lutra spalić póki nie będzie za późno. Dominował jednak strach i poczucie zaniepokojenia z powodu coraz większej agresji ateistów.

W miarę przybywania komentarzy burmistrz stopniowo zmieniał stanowisko. Był coraz bardziej przekonany, że ma do czynienia z chytrą akcją którejś z sąsiednich gmin konkurujących o środki z województwa. W czasach kryzysu w walce o środki ludzie mogli nie przebierać w środkach. Zastanawiał się nawet czy nie zwołać okrągłego stołu, w celu wytyczenia strategii obrony miasta przed złośliwymi atakami konkurentów. Doszedł do wniosku, że Wałach niepotrzebnie rozrabia dzieląc ludzi, podczas gdy ludzi trzeba jednoczyć. Teraz, kiedy sprawy zaszły tak daleko – pomyślał – jesteśmy wydani na pastwę nieżyczliwych mediów. Będą nas obserwować i komentować – dorzucił w myślach po krótkiej przerwie. Jediną strategią byłoby... – w tej kwestii nic mu jednak nie przychodziło

do głowy i stopniowo uświadamiał sobie, że nie posiada strategii. Miał strategię na przetrwanie kryzysu, a nie miał strategii na tego Płaksina. Chcieli nas ośmieszyć i podważyć naszą rolę w powiecie – doszedł do wniosku i nie miał wątpliwości, że teraz i w powiecie, i w województwie będzie kojarzony z Płaksinem. Zaczną się śmiechy i docinki za plecami, a to jest broń, z którą nie daje się walczyć. Gdyby człowiek wiedział, kto się za tym kryje, najlepszy byłby atak frontalny, albo doniesienie do prokuratury. Zastanawiał się przez chwilę nad napisaniem sprostowania do Onetu, ale doszedł do wniosku, że to nic nie da. Trzeba raczej dążyć do minimalizowania szkód.

Piasecka zapowiedziała w 3a, że dzisiejsza lekcja polskiego będzie lekcją wychowawczą i że będzie poświęcona analizie wiersza Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego: „Satyra na bożą krówkę”. Uczniowie przyglądali się jej z oczekiwaniem. Sięgnęła po tom wierszy i zaczęła czytać:

Po cholerę toto żyje?
Trudno powiedzieć, czy ma szyję,
a bez szyi komu się przyda?
Pachnie toto jak dno beczki,
jakieś nóżki, jakieś kropeczki –
ohyda
Człowiek zajęty niesłuchanie,
a toto proszę, lezie po ścianie
i rozprasza uwagę człowieka;
bo człowiek chciałby się skoncentrować,
a ot, bożą krówkę obserwować
musi, a czas ucieka.
A secundo, szanowne panie,
jakim prawem w zimie na ścianie?!
Co innego latem, gdy kwitnie ogórek!
Bo latem to co innego:
każdy owad może tentego
i w ogóle.
Więc upraszam entomologów,
czyli badaczów owadzich nogów,
by się na tę sprawę rzucili z szalem.
I właśnie dlatego w Szczecinie,
gdzie mi czas pracowicie płynie,
satyrę na bożą krówkę napisałem.

Piasecka zamknęła książkę i odłożyła ją na stole.

– Domyślcie się – powiedziała – dlaczego zdecydowałam się na analizę tego właśnie wiersza na lekcji wychowawczej.

– To pani przybiła te tezy, żeby nas zmusić do czytania – krzyknął Dąbrowski wpatrując się w nią z nieklamany zachwytem.

– Chciałbyś – uśmiechnęła się Piasecka – ale to nie ja. Po pierwsze nigdy bym na to nie wpadła; po drugie, nie starczyłoby mi odwagi; po trzecie, podpisałabym swoim imieniem i nazwiskiem, a wtedy cały efekt byłby popsuty.

– Dlaczego – zapytał Dąbrowski.

– Bo wyrzucono by mnie z pracy zanim dotarlibyśmy do analizy wiersza „Satyra na bożą

krówkę”. Tak więc, to nie ja przybiłam do drzwi kościoła tezy „Gimnazjalnego koła badaczy owadzych nogów”...

– Ale nie myśli pani, że to my – zapytał Dąbrowski.

– Nie, nie myślę, że to wy i nie mam najmniejszego pojęcia kto; tym niemniej uważam, że powinniśmy się zająć analizą wiersza „Satyra na bożą krówkę”. Beata, połóż na każdej ławce ksero tego wiersza i zabieramy się do roboty. Przypominam, że jest to lekcja wychowawcza, a nie lekcja języka polskiego.

Klasa przyglądała jej się podejrzliwie. Piasecka usiadła za stołem i wpisała do dziennika informację: „Lekcja wychowawcza poświęcona analizie wiersza Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, do którego podobno nawiązuje notatka połączona z incydentem związanym z pomówieniem uczniów naszego gimnazjum o wandalizm w postaci uszkodzenia drzwi kościoła.” Rzuciła okiem na klasę. Beata wróciła do swojej ławki, uczniowie studiowali wiersz. Piasecka wstała, przez chwilę zastanawiała się, czy nie poprosić ich, żeby odsunęli ławki pod ściany i nie ściągnąć ich w krąg pozwalający na swobodniejszą rozmowę. Zrezygnowała z tego pomysłu i przyglądała się ich twarzom, zastanawiając się, co z tego wszystkiego wyjdzie. Uczniowie skończyli czytanie i podnieśli głowy.

– Co wam przychodzi na myśl, kiedy czytacie ten wiersz – zapytała.

– Destrukcja – powiedział Mikołaj Malik ze złośliwym uśmiechem – Poeta potraktował bożą krówkę jako element wywrotowy i destrukcyjny; boża krówka, samą swoją obecnością powodowała zamieszanie...

– Przestań się wygłupiać – przerwała mu Beata – oczywiście wybrała pani ten wiersz, ze względu na tych „badaczy owadzych nogów”. W tezach na drzwiach kościoła było kółko „badaczy owadzych nogów”. Autor też też musiał czytać ten wiersz, bo my tak naszego kółka nie nazywamy.

– Wcale nie musiał – wtrąciła się Dominika – ten zwrot „badacze owadzych nogów” używany jest często przez różnych ludzi, którzy nie mają pojęcia o biologii, ale są okropnie dumni ze swojej ignorancji.

– Przecież to jest wiersz satyryczny – sprzeciwił się Mikołaj – Spróbuj to sobie odtworzyć, siedzisz przy biurku i łapiesz się na tym, że zamiast odrabiać matkę wparujesz się w biedronkę. Biedronka budzi twoje zainteresowanie i twoją sympatię, bo inaczej byś się na nią nie gapila. Boża krówka cię intryguje i irytuje, trzeba jej dokopać. Tak więc, w tym wierszu poeta zdenerwowany wywrotową i destrukcyjną działalnością bożej krówki postanawia jej dokopać. Oczywiście w opisie bożej krówki jest nieobiektywny, ale trzyma się faktów. Szyja bożej krówki jest niewidoczna, jest ukryta pod chitynowym płaszczem, ale nawet p o oberwaniu skrzydełek...

– Mikołaj przestań – powiedziała Beata.

– Możemy poprosić Leszcza i zbadać sprawę dogłębnie – kontynuował Mikołaj – zarzuty Gałczyńskiego były całkowicie uzasadnione, im bardziej się przyglądał, tym bardziej tej szyi tam nie było. Zapach bożej krówki też nie jest urzekający. Nie da się ukryć, że boża krówka śmierdzi jak dno beczki. Natomiast zarzuty pod adresem kropek i nóg są wredne. Typowa kampania negatywna.

– Długo tak możesz? – zapytała Dominika – Ja uważam, że ponieważ to wszystko ma związek z tą całą historią, powinniśmy się skupić na zwrocie „badacze owadzych nogów”. Czy niechęć do entomologów była tu zamierzona, czy była tylko żartem? Czy poeta mógł nie zdawać sobie sprawy jaki ogrom fascynującej wiedzy może kryć badanie owadów? Wiersz jest satyrą, Gałczyński oczywiście żartuje, ale to stało się idiomem na wyrażanie pogardy do wszystkiego, czego się nie rozumie. Obejrzyjcie sobie w Internecie, to jest bardzo często używany zwrot.

– Ja to też oglądałem – wtrącił Paweł – to są zarzuty różnych grafomanów pod adresem krytyków, to nigdy nie dotyczy biologii...

– Nic nie rozumiesz – upierała się Dominika – ci wszyscy poeci mają tak niskie mniemanie o nauce, że nazwanie kogoś „badaczem owadzych nogów” jest dla nich największym wyzwiskiem. Ponieważ nienawidzą krytyków to porównują ich do badaczy, uważają badaczy za najniższą formę bytu... Banda nadętych durni i nieuków.

– Chyba się trochę zaperzyłaś – powiedziała Piasecka – chociaż, troszkę racji w tym co mówisz może być.

Reszta klasy najwyraźniej zaczynała się trochę nudzić i Piasecka zastanawiała się jak wciągnąć resztę do tej dyskusji. Powiedziała, że ktokolwiek napisał te tezy, mógł podzielać oburzenie Dominiki, ale wydawał się sugerować, że można takiej nazwy używać z dumą i poczuciem humoru. Czasem jest tak, że kogoś próbują obrazić, wyśmiać, a ten ktoś mówi „jaka fajna nazwa, będę jej teraz używał”.

– Tak było z Wielkim Wybuchem – powiedział Mikołaj – angielski astronom Fred Hoyle w audycji radiowej wyśmiał pomysł nagłego początku wszechświata mówiąc, że to pewnie było takie wielkie łup i teraz wszyscy to nazywają Big Bang.

Piasecka powiedziała, że jest więcej, dużo więcej takich przypadków i warto o tym pamiętać, bo czasem jest to najlepsza forma obrony przed głupimi atakami. „Satyra na bożą krówkę” została tu użyta przez kogoś, kto najwyraźniej wysoko ceni biologię. Też w całości nie znamy, widział je tylko ksiądz Marek....

– I komendant – dodał Paweł.

– ...oraz komendant, który dotychczas nie dzielił się z nikim swoją wiedzą. Dlaczego waszym zdaniem ten ktoś powiesił swoje tezy na drzwiach kościoła, a nie na drzwiach szkoły, Urzędu, albo po prostu na słupie?

– Ksiądz nie musi nas wyzywać od małp – powiedziała siedząca w ostatnim rzędzie Karolina, która normalnie nie uczestniczyła w żadnych dyskusjach.

Mikołaj podniósł rękę, co mogło świadczyć o jego silnym wzburzeniu, gdyż nie zdarzało mu się, żeby podniósł rękę przed otworzeniem ust. Piasecka pomyślała, czy jednak nie była to sprawka tego towarzystwa i zaczęła się gorączkowo zastanawiać, jak ich w takim przypadku chronić przed gniewem grona i sił zewnętrznych. Zwróciła twarz do Mikołaja.

– To, że nam ksiądz Marek wymyśla od małp to nie ma nic do rzeczy – powiedział – on ma jedne poglądy, my mamy inne. Czasami go nawet rozumiem, bo nie ma z nami lekko. Tylko, że ktoś, kto przybił te tezy nic o tym nie wie. Wiedział, że jak powiesi na drzwiach kościoła to będzie największa awantura. To znaczy, że chciał wywołać awanturę, możliwie największe zamieszanie. Analogia do Lutra też jest piękna. Ale ja nie wierzę, że tam były tylko dwie tezy: chcemy więcej wiedzy niż religii i chcemy znać całą prawdę o naszych wspólnych genach z bananem.

– Słyszałam, że zgadzacie się w kwestii bananów, a co z pierwszą tezą – zapytała Piasecka – czy rzeczywiście chcecie więcej wiedzy?

Klasa zaprzeczyła gwałtownie, tylko Ryszard powiedział ponuro, że lekcje mogłyby być ciekawsze. Piasecka domyślała się, że pewnie nikt z nich by takiej tezy nie napisał. Wiedziała, że nie lubili lekcji religii i chciała wiedzieć więcej o incydencie z małpami. Zastanawiała się, co o tym wszystkim mówili ich rodzice. Jak o tym rozmawiali, kiedy byli sami w klasie, albo w grupkach na korytarzu? Nie zapytali nawet o Piotra Płaksina, a przecież nad miasteczkiem unosił się duch chandry unyńskiej tyle, że chłopcy woleliby grać na gitarze, albo na perkusji, a dziewczyny z zapalem studiowały kariery wokalistek. To jak to było z tymi małpami – zapytała. Klasa milczała. Paweł i Dominika dziwnie patrzyli na Mikołaja. Powiedźcie, o co chodzi, uśmiechnęła się zachęcająco. Mikołaj wzruszył ramionami.

– To była moja wina – powiedział – bo zacząłem głupstwa opowiadać, że polscy archeolodzy znaleźli w Iraku glinę, z której Pan Bóg ulepił australijskiego dziobaka.

4

W sobotę żona dyrektora gimnazjum, Anna, ujawniła i nagłośniła sprawę kradzieży dzieł Karola Darwina z biblioteki miejskiej w Janowiepawłowie Małym. Wszystko zaczęło się od jej wizyty w bibliotece miejskiej i ostrożnych prób wydobywania od Kasi-bibliotekarki jakie książki pożycza uzależniony filozof, czy może pożyczał coś o owadach lub inne podobne tytuły, na przykład książki Karola Darwina.

Już po kilku minutach rozmowy Kasia wyznała jej całą prawdę. Biblioteka miała na stanie komplet dzieł Karola Darwina zakupiony w 1959 roku. Z kart bibliotecznych wynikało niedwuznacznie, że pierwszą osobą, która wypożyczyła tom drugi, był właśnie Maciej Janicki (nazywany filozofem uzależnionym). Wypożyczył ją na początku stycznia 2009 roku i po dwóch dniach zapytał, czy mógłby te, przez nikogo nieczytane, książki Darwina odkupić lub dostać. Wyłaniały się tu jednak poważne problemy natury formalnej. Przepisy przewidywały, że książki z biblioteki można wycofać i zniszczyć, nie przewidywały jednak możliwości ich odsprzedania lub podarowania osobie prywatnej. Maciej mógł je wypożyczyć i złożyć oświadczenie o ich zagubieniu, ale Kasi nie wydawało się to właściwe, doszła do wniosku, że najlepszym rozwiązaniem będzie ich zniknięcie za jej zgodą, ale bez jej wiedzy. Tak więc, uzależniony filozof zwrócił tom drugi dzieł Darwina, a następnie książki zaginęły i Kasia nie spodziewała się, aby ktoś o nie pytał przez następne 50 lat.

– Oczywiście – powiedziała troszkę zirytowana wścibstwem Anny – książki mogą powrócić na półkę w bibliotece, tylko po co, kiedy teraz znalazły wreszcie przyjazny dom. Wszyscy mówią tylko o psach i kotach, a książki też potrzebują domu.

Anna opowiadała o tej historii Halinie Dąbrowskiej, której siedemdziesięcioletnia matka była pół wieku temu bibliotekarką w Bierutowie Małym i która, jak się okazało, doskonale pamiętała zakup dzieł wszystkich Karola Darwina z okazji setnej rocznicy pierwszego wydania „O powstawaniu gatunków” i sto pięćdziesiątej rocznicy urodzin jej autora. Zapamiętała ten zakup, gdyż był to sam początek jej pracy na stanowisku bibliotekarki i to ona organizowała uroczystą akademię i ona ustawiała te książki na honorowym miejscu, tam, gdzie dziś stoją dzieła Jana Pawła II i książki o Benedykcie XVI. Początkowo wyszły tylko cztery tomy, a dalsze przychodziły sukcesywnie w kolejnym roku.

Anna odwiedziła Macieja Janickiego w jego mieszkaniu i ucieszyła się nawet, kiedy poczuła od niego alkohol. Maciej Janicki mieszkał w blokach, w komunalnym mieszkaniu po matce. Anna pamiętała ją z czasów młodości, kiedy przychodziła na różne spotkania i krytykowała władze miasta. W latach osiemdziesiątych, w czasach stanu wojennego, była naczelnikiem gminy, ludzie dobrze ją wspominali, często pytali o radę. Sam Maciej Janicki przez kilka lat mieszkał w stolicy, ale żona wyrzuciła go w końcu z mieszkania z powodu picia i wrócił do Janowapawłowa. Kilka razy zatrudniano go w Urzędzie, nieodmiennie jednak, po kilku miesiącach wzorowego wykonywania pracy, zaczynał wszystko i wszystkich krytykować, by pewnego dnia oświadczyć, że ma to gdzieś i pograć się w wielkim pić. Niektórzy mówili, że jego matka zmarła ze wstydu, bo rodzina znana była w mieście od pokoleń.

Filozof uzależniony przyznał się do kradzieży dzieł Darwina i powiedział, że może je zwrócić, albo zapłacić za ich zgubienie. Ostatecznie był jedyną w mieście osobą zainteresowaną ich posiadaniem. Anna nie interesowała się jednak faktem nielegalnego wejścia w posiadanie dzieł zebranych Karola Darwina. Była teraz przekonana, że to Maciej był sprawcą całego zamieszania i że to on przybił tezy do drzwi kościoła. Powiedziała mu o tym wprost, a na jego twarzy malowało się coraz większe zdumienie.

Uzależniony filozof był prawdopodobnie jedyną osobą w mieście, która o niczym nie słyszała, i dowiedziawszy się o całym zdarzeniu wybuchnął niepohamowanym śmiechem.

– „Gimnazjalne kółko badaczy owadnich nogów” – powtarzał w kółko klepiąc się po

udach – Pani Anno, pani to chyba wymyśliła, myślała pani, że to ja, i ten Darwin pasował tu jak ulał. Kto wie, gdybym na to wpadł, to może bym to zrobił. Zapewniam panią, że jak się dowiem kto wbił gwóźdź, to nikomu nie powiem. Mówi pani, że to nikt ze szkoły, ale w takim razie kto? Że też ja na to nie wpadłem.

Marta Piasecka spotkała się z dyrektorem w sklepie, a ponieważ mieszkali po sąsiedzku w wybudowanym jeszcze w czasach gierkowskich domu nauczyciela, więc wracali razem. Po drodze, troszkę niepewnie zapytała go, czy może go poprosić o radę, ponieważ ma poważny problem, ale w żadnym przypadku nie chciałaby, aby interweniował jako dyrektor. Odpowiedział, że nie może niczego obiecać, gdyż jeśli sprawa dotyczy ostatnich wydarzeń i jeśli ona zna sprawcę, to on będzie musiał wyciągnąć konsekwencje. Piasecka zapewniła go, że nie zna sprawcy, ale sprawa jest delikatna, a nawet w pewnym sensie poważna. Dyrektora zaniepokoiło to dziwne sformułowanie, tym bardziej, że miał wrażenie, iż wyczuwa w jej głosie nutę rozbawienia.

– Pewnego razu – powiedziała – pewien uczeń gimnazjum założył się z drugim uczniem gimnazjum, iż przekona katechetę, że człowiek jest piątą małpą człekokształtną. Wynik zakładu miały rozstrzygnąć dwie koleżanki z klasy. Uczeń, który rzucił wyzwanie doprowadził księdza katechetę do stwierdzenia, że są bandą małp. Zakład został jednak nierozstrzygnięty, gdyż dziewczynki mają odmienne zdania w sprawie wyniku.

Dyrektor zatrzymał się na chodniku.

– Więc to jednak oni.

– Przeciwnie, to raczej dowodzi, że to właśnie nie oni, ale ktoś zbliżony do kółka. Tak czy inaczej, uczniowie poprosili mnie o rozstrzygnięcie sporu.

– Jak to – zapytał dyrektor.

– No, czy jeśli katecheta nazwał klasę bandą małp, to tym samym można powiedzieć, iż w pewien sposób uznał, że człowiek jest piątą małpą człekokształtną?

– Nie powinnaś się w to wtrącać?

– Nie rozumiem, młodzież poprosiła mnie o pomoc w interesującym sporze. Sądziłam również, że może ci się przydać wiedza o stanowisku księdza Marka w tej sprawie. Jest jeszcze jedna rzecz – dodała – ta sama czwórka uczniów postanowiła zrezygnować z chodzenia na religię.

Dyrektor najwyraźniej wzdrygnął się na samą myśl o takiej możliwości, z niepokojem zapytał, czy uczniowie przynieśli pisemną zgodę swoich rodziców i zapytał jak Piasecka się właściwie o tym dowiedziała.

– Cała czwórka przyszła do mnie do domu po lekcji wychowawczej. Opowiedzieli mi o tym zakładzie, a potem przyznali, że zamierzają zrezygnować z chodzenia na religię.

– Mam nadzieję, że ich rodzice nie wyrażą na to zgody.

– To dziwne, że jest potrzebna na to zgoda – uśmiechnęła się Piasecka – mają już prawo wyrazić zgodę na współżycie seksualne, ale nie mają prawa odmówić zgody na indoktrynację religijną....

Dyrektor rozejrzał się niespokojnie i zaproponował, żeby wpadła do nich na kawę. Najwyraźniej, nie była to rozmowa, którą można było dalej toczyć na chodniku. Piasecka odniosła zakupy do swojego mieszkania i zeszła na dół do dyrektora. Anny nie było w domu, więc usiedli w kuchni, dyrektor zapytał, czy chce kawę sypaną czy rozpuszczalną. Wybrała rozpuszczalną, bowiem kawa sypana, zwana od czasu klęski Turków pod Wiedniem „kawą po turecku”, a przez Turków odwiedzających Polskę, kawą po polsku, z jakiegoś powodu kłuła ją w zęby.

Dyrektor wyraził opinię, że w żadnym przypadku nie wolno dopuścić, aby którykolwiek z

uczniów zrezygnował z chodzenia na religię. Jak powiedział, był temu w ogóle przeciwny, a teraz w szczególności.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że konflikt między księdzem Markiem, a klasą będzie teraz narastał. Już zapowiedział, że obniży im stopnie na świadectwie, a to jest ostatnia klasa i domyślasz się, że nie mają na to ochoty – powiedziała Piasecka.

– To są najgorsi uczniowie jakich pamiętam...

– Gdybym miała kiedyś całą klasę takich uczniów, to byłoby znacznie więcej niż wygrana w totka.

– Ja wiem, że oni są zdolni, tylko jeszcze nie wiem do czego – odpowiedział dyrektor. – Czy powiedziałaś mi wszystko, czy jest jeszcze coś, co przede mną ukrywasz?

– W zasadzie wszystko – powiedziała Piasecka – chyba, że...- zawahała się – chyba, że zainteresuje cię, że Beata Groszek i Dominika Malinowska dały wywiad gazecie...

Dyrektor wpatrywał się w nią w niemym przerażeniu. – Jak to udzieliły wywiadu – zapytał – o czym, o szkole? Dlaczego nic o tym nie wiem? Kiedy to było?

– Wywiad był wczoraj, podobno mówiły tylko o pracy kółka...

– Ten wywiad ukaże się na pewno w poniedziałek, w dniu, w którym będziemy tu mieli wizytację tej kretynki Dziubińskiej...

– To może być nawet dobre...

– Dobre? Na jakim ty świecie żyjesz? Nie rozumiesz jak łatwo mogą mnie zniszczyć? Wiesz może kto ten wywiad zrobił.

– Zielińska, jak pamiętasz, kiedyś była twoją ulubioną uczennicą.

Po wyjściu Piaseckiej dyrektor zadzwonił do redakcji. Zielińska ucieszyła się, kiedy usłyszała jego głos i speszyła się, kiedy podniesionym głosem powiedział, że wyprasza sobie jakiegokolwiek rozmowy z uczniami bez jego wiedzy i zgody, w szczególności na terenie szkoły.

– Rozmowa odbywała się w domu państwa Malinowskich i dotyczyła zainteresowań dziewczynek. Nie wydawało mi się, aby konieczne było informowanie o tym kogokolwiek, ani aby potrzebna była zgoda dyrekcji szkoły.

– Zdaje pani sobie sprawę z tego, że cały ten szum medialny wokół tej sprawy wyłącznie szkodzi szkole i naszym uczniom.

– Rzeczywiście nie rozumiem, panie dyrektorze, ludzie w naszym mieście tak mówią o tej kartce papieru na drzwiach kościoła jakby ktoś został zabity, albo jakby ktoś podłożył bombę.

– Wbrew pozorom, to wcale nie był taki niewinny żart – odpowiedział dyrektor.

– Nie wiem, na czym polega powaga tej, jak pan mówi, całej sprawy, ale dla mnie znacznie ciekawsze jest to, że młodzież ma jakieś pasje.

– Jakoś was te pasje naszej młodzieży nie interesowały wcześniej, wszyscy nagle zaczęli się interesować naszą szkołą po tym, jak jakiś dureń zrobił sobie głupi żart. Tak czy inaczej, byłbym wdzięczny, gdyby ten artykuł ukazał się najwcześniej za kilka dni, kiedy już będziemy wiedzieli czyja to sprawa.

Niespodziewanie zmienił ton i dodał – Justynko powinnaś zrozumieć, że są ludzie, którzy próbują to wszystko wykorzystać. Obiektywnie rzecz biorąc może i powieszenie tej kartki nie było jakimś wielkim przestępstwem, ale ludzie są wzburzeni, to wydarzenie naruszyło delikatną równowagę całego systemu...

– Rozumiem, panie dyrektorze, ale nie mam na to wpływu. Jest weekend, poniedziałkowy numer już został oddany do składu, ale proszę mi wierzyć, artykuł jest zupełnie niewinny.

– To znaczy – jęknął dyrektor.

– Dominika opowiada głównie o swojej ukochanej tarantuli i o pajakach, które zapewne

jako pierwsze stworzenia zeszyły na ląd, a Beata mówi o swoim marzeniu, żeby zostać weterynarzem.

– No trudno. Przepraszam, że się uniosłem – powiedział dyrektor kończąc rozmowę – Mam wrażenie, że w ostatnich dniach wszystko wymyka się spod kontroli.

Jak twierdził Ryszard, mieszkanie Leszcza składało się z dwóch pokoi, żony i pięcioletniego syna oraz pracowni Leszcza, w której na oknie leżało mnóstwo kamieni z skamielinami różnych ślimaków i małż, bursztyn z muchą w środku, na ścianach wisiały plansze, na biurku był artystyczny bałagan, a na podłodze leżały zeszyty uczniów.

Leszcz miał najdziwniejszy sposób poprawiania prac domowych. Na przykład obrysowywał kółkiem jakieś zdanie i pisał drobnymi literami: „chyba tego nie rozumiałeś, przyjdź, pogadamy”. Albo pisał: „to wygląda troszkę inaczej, masz tu link na stronę Internetu, tam to fajnie tłumacza”. Czasem umiał napisać: „Dobrze ściągnięte, napisz to jeszcze raz, tak, żebym wiedział, że również rozumiałeś.”

Leszczyński lubił mówić o ściągnięciu ze zrozumieniem. Powtarzał, że dureń nie rozumie co przepisuje, a inteligent korzysta ze źródeł, które rozgryzł. Różnica niewielka, jak między człowiekiem i szympansem.

Siedzieli u niego na podłodze, bo pokój Leszczyńskiego miał tylko jedno krzesło, które w takich sytuacjach służyło jako stół, na którym jego żona stawiała tackę z ciastkami. Tym razem też siedzieli na podłodze i mówili, że jak Leszczyńskiego wyrzucą ze szkoły, to zorganizują strajk i będą chodzili po ulicach z transparentami.

– A jak będzie zimno i deszcze, to zrobimy okupację Urzędu – powiedział Paweł z nadzieją w głosie.

Dominika zaproponowała, żeby napisać do MEN-u, ale Leszczyński roześmiał się i powiedział, że przecież jeszcze nic się nie stało, że nikt go nie chce wyrzucić z pracy i pewnie wszystko się niebawem wyjaśni. Sięgnął do leżącego przed nim jak zwykle laptopa i podniósł ekran.

– Zastanawialiście się kiedyś, jak coś takiego mogło wyewoluować – nie wiadomo skąd w jego ręku znalazło się nagle gęsie pióro. – Znalazłem wczoraj artykuł, o którym muszę wam opowiedzieć. Boję się jednak, że potrzebny jest wstęp.

Znali te jego wstępy, zawsze zaczynał lekcję i przechodził do wstępu. Nigdy nie spieszył się ze wstępem. Tym, razem też sięgnął po ciasteczko i najwyraźniej szperał w swoich myślach jakby szukał końca nitki na kłębku. Do pokoju zajrzał mały Staś, Dominika kiwnęła na niego głową, więc wszedł odważnie i wpakował się jej na kolana, patrząc głodnym wzrokiem na otwarty laptop.

– Darwin ciągle opóźniał publikację swojej teorii – zaczął Leszczyński. – Nie wiadomo co mu przeszkadzało bardziej, niepokój czy reakcje na książkę nie wzbudzą za bardzo jego żony Emmy, czy ogon pawia. Emma była osobą głęboko wierzącą, a Darwin wiedział, że po publikacji książki będzie awantura na cztery fajerki; ale ogon pawia też był poważną przeszkodą. Krzyżący ogon pawia informował, że coś się w tej jego teorii mocno nie zgadza. Facet z takim ogonem musiał być łatwiejszym łupem drapieżników, taki ogon w żaden sposób nie mógł ułatwiać przetrwania i ewolucja powinna błyskawicznie wyeliminować tę zbędną i mocno obciążającą ozdobę. – Leszcz sięgnął po ciasteczko, ugryzł je i wyjaśniał dalej. – Emma przetrwała burzę po publikacji książki, ale ogon pawia dręczył Darwina do końca życia. Trzeba było jeszcze ponad stu trzydziestu lat, żeby znaleźć wyjaśnienie tej zagadki i dalszych dziesięciu, żeby zgromadzić dowody na to, że to wyjaśnienie trzyma się kupy. Izraelski biolog Amotz Zahawi doszedł do wniosku, że ten piekielny pawia ogon, to nic innego jak zwykle świadectwo zdrowia okazywane na żądanie, a raczej na pożądanie. Nasze

geny produkują mnóstwo takich świadectw zdrowia, bujne i błyszczące włosy, gładka cera, zgrabna figura, wszystko co przyciąga wzrok chłopaków u dziewczyn i wszystko co przyciąga wzrok dziewczyn w wyglądzie chłopaków. Te bujne włosy, gładka cera i zgrabna figura to taka telewizyjna reklama krzycząca: patrz i podziwiaj, lepszych genów w okolicy nie znajdziesz. – Popatrzył na trzymane w ręku pióro, jakby szukał w nim dalszej inspiracji. – Oczywiście – mówił dalej – Darwin widział te wszystkie ozdoby, kolorowe pióra, narośle na dziobach, piękny głos ptaków i dlatego napisał, że obok doboru naturalnego działa tu jeszcze dobór płciowy. Uważał jednak, i pewnie się z nim zgodzicie, że ten ogon pawia to stanowcza przesada.

Staś wychylił się z kolan Dominiki, zabrał ojcu gęsie pióro z ręki i zaczął nim łaskotać siedzącą obok Beatę, która udawała, że mu daje po łapach. Leszcz przyglądał się z uśmiechem synowi i przez chwilę wyglądał jakby zgubił wątek. Chyba rzeczywiście zgubił, bo zapytał:

– O czym ja miałem mówić? A, Zahavi i jego zasada upośledzenia. No więc ten cholerny ogon pawia dręczył Darwina do śmierci, dręczył również całe pokolenia biologów po nim. Wreszcie Zahavi wymyślił zasadę upośledzenia. Powiada on tak: mamy zwykle świadectwa zdrowia, długie błyszczące włosy, gładką cerę, piękną figurę, białe zęby, ładny głos, ale są jeszcze nadzwyczajne świadectwa zdrowia, ogłoszenia reklamowe wielkie jak pół chałupy. Jak widzisz taką reklamę, to możesz pomyśleć, że jeśli producenta stać na to, żeby ładować tyle forsy w reklamę, to on chyba ma dobry towar. Z tym ogonem pawia jest podobnie, taki pawia facet pokazując swój wielki ogon powiada: mam taki wielki ogon, bo mnie na to stać, moje geny są tak wspaniałe, że ucieknę drapieżnikowi mimo takiego obciążenia. Byle kto nie zafunduje sobie takiego ogona.

– Tato, czy mogę pożyczyć laptop – przerwał mu Staś.

– Możesz – odpowiedział Leszczyński dodając – ale oddasz bez gadania jak cię poproszę.

Staś wydał z siebie potakujące mruknięcie, zeskoczył z kolan Dominiki, porwał ojcowego laptopa i zniknął.

– No więc – Leszczyński wrócił do przerwanej wątku – Zahavi powiadał, że trzeba mieć znakomite geny, żeby paradować z takim obciążeniem i panienki patrząc na takie świadectwo zdrowia nie mają szans. Inni biolodzy najpierw przyjęli to wyjaśnienie gromkim śmiechem, ale obserwacje różnych utrudniających życie i niczemu nie służących ozdób najwyraźniej potwierdzały tę ideę. W poszukiwaniu dowodów tej teorii najbardziej mi się podobały eksperymenty ludzkich małpisonów, które doklejały samcom jaskółek piórka wydłużające ich ogony i sprawdzały potem, czy te ze sztucznymi ogonami zapłodniły więcej samic. A jakże, jaskółcze dziewczyny leciały na tych oszukanych piękniśach jak głupie. – Przerwał na chwilę i sięgnął po porzucone przez Stasia pióro. – No dobrze, wszyscy wiemy, że ptasie pióra nie tylko grzeją, nie tylko służą do latania, ale również zdobią, ale skąd się wzięły pierwsze pióra? Czy najpierw miały służyć, czy najpierw miały zdobić? Ewolucja, a raczej dobór naturalny i dobór płciowy szukają na śmietniku popsutych genów czegoś, co może się przydać. Otóż Staś zabrał mi mój komputer, a chciałem wam pokazać zdjęcie znalezionej niedawno skamieliny dinozaura, która wydaje się wskazywać na to, że pióro na dinozaurzych salonach godowych było najpierw cenione jako ozdoba. Powiecie natychmiast, że długo musiało trwać zanim wykształciło się ładne, kuszące wzrok pióro. Oczywiście, pewnie zaczęło się od jakiegoś kompletnie neutralnej, nieszkodliwej narośli, która z jakiegoś powodu była atrakcyjna dla pań. (Wiecie jak to z paniami jest, raz podobają im się szerokie nogawki, raz wąskie, a jak wybuchnie moda na mundur, to za mundurem panny sznurem.) Teraz jeśli natrafimy na takie narośle, które mogły być atrakcyjne dla dinozaurzych pań i z których mogły wykształcić się pióra, to będzie nam łatwiej je dostrzec. Tak czy inaczej mamy niemal pewność, że pióra najpierw zdobiły, a potem służyły. Czasem ozdoba może się przydać, piękną szpilką do włosów zręczny złodziej potrafi otworzyć skomplikowany zamek.

– Ksiądz Marek mówi, że ludzie i dinozaury żyły obok siebie – powiedział Ryszard ze śmiechem.

– A pytaliście go jak wytłumaczyć skamieliny dinozaurów znajdujące w głębokich warstwach geologicznych, ukryte w skałach, które powstawały dziesiątki milionów lat temu?

– On się z nas śmieje – powiedziała Beata – twierdzi, że nas oszukano, że nie było żadnych dziesiątków milionów lat, tylko ziemia została stworzona siedem tysięcy lat temu...

– Aha – uśmiechnął się Leszczyński – to jak niby te kości wylądowały głęboko w skałach?

– No były różne trzęsienia ziemi, wybuchy wulkanów i one tam jakoś wylądowały – stwierdził Paweł imitując głos księdza Marka.

– Ja gdzieś czytałam, że Pan Bóg celowo umieścił te kości dinozaurów w takich dziwnych miejscach, żeby nas poddać próbie – dodała Dominika chichocząc.

Leszczyński ponownie sięgnął po ciasteczko i przyglądał im się z nieukrywaną sympatią.

– Hm – mruknął – mogę sobie to wyobrazić. Staruszek lepi z gliny gotowe skamieliny, wciska je głęboko w ziemię, żeby te łobuzy za szybko ich nie znalazły, zaciera ręce i mówi: kości zostały rzucone, a teraz ulepię sobie człowieka.

Niedziela, nie jest dniem odpoczynku, zgoła przeciwnie. Dyrektor nie miał wątpliwości, że Wałach coś wymyśli i od świtu z niepokojem oczekiwał na jego kazanie. Temperatura spadła poniżej zera, duże płatki śniegu opadały majestatycznie na ziemię. Nie było wątpliwości, że kazanie będzie o badaczach owadzych nogów.

Przy śniadaniu Ania powtórzyła raz jeszcze, że trop uzależnionego filozofa jest zdecydowanie fałszywy, gdyż jego nieklamany zachwyty dla tego pomysłu wykluczał jakiegokolwiek udawanie. Nie ulega wątpliwości, że uzależniony filozof nic wcześniej o całej historii nie wiedział.

Dyrektor nie mógł pojąć owego zachwyty dla tej całej historii, gdyż na taki zachwyty mógł sobie pozwolić tylko człowiek bardzo luźno związany z rzeczywistością. Dla dyrektora było jasne, że ta cała historia była zaledwie początkiem huraganu Katrina. A może to jednak Kasia - pomyślał sięgając po grzankę. Niezależnie kto był sprawcą tego zamieszania, wały ochronne puściły i woda wdarła się do miasta.

- Wszystkim należy się do uszu - powiedział głośno, wywołując tą uwagą zdumione spojrzenie Ani - wszystkim nam się woda należy do uszu - wyjaśnił - nie mamy odpowiednich procedur na radzenie sobie z takimi wydarzeniami.

- Przyschnie - odpowiedziała Ania - trzeba tylko odczekać. Jeśli winny się znajdzie, to cała złość skieruje się na winnego, a jeśli się nie znajdzie, to złośnikom zabraknie pomysłów. Jak długo można tańczyć wokół jednego gwoźdźca?

Chwilowo jednak zapał do tańca nie ustawał. Kiedy zbliżali się do kościoła dyrektor miał wrażenie, że ludzie odkłaniają mu się chłodno, bez tej serdeczności i szacunku, która normalnie sprawiała mu taką radość. Usiedli w ławce i patrzyli z niepokojem jak Wałach celebrował mszę. Nie ulegało wątpliwości, że wszyscy czekali tylko na jedno, więc kiedy ksiądz wszedł wreszcie na ambonę, w kościele zapadła wielka cisza. Ksiądz Marek zapowiedział czytanie z Ewangelii świętego Marka i rzeczywiście zaczął czytać:

Ksiądz zamknął Biblię i zerknął na kartkę z przygotowanym kazaniem. Kościół nadal wypełniała cisza pełna oczekiwania, ale w głośnikach słychać było jakiś pogłos. Poprawił mikrofon i zaczął:

- Słyszeliście co się stało w naszym mieście, tu w tej świątyni, którą ktoś zbezczeszczył wbijając gwoźdź w jej drzwi, jak w krzyż Chrystusowy. Codziennie, wchodząc tu, widzę w tych drzwiach płaczącą ranę, dziurę po gwoźdźcu, którą wy też widzicie.

Nie jest wielka, ktoś mi powiedział, że wystarczy szczypta trocin z klejem i puszczonej farby, żeby stała się niezauważalna. Zręczne ręce rzemieślnika usuną ślad po gwoźdźcu, ale nie ustanie ból serca. Bo któż mógł podnieść rękę na świątynię bożą i wbić w nią gwoźdź?

Ksiądz Marek przyglądał się zgromadzonym parafianom, wydłużając swoje oczekiwanie na odpowiedź w nieskończoność. Zatrzymał wzrok na twarzy dyrektora, spojrział na burmistrza i zapatrzył się na skłębiony w tylnych szeregach tłum młodzieży.

Jezus przyszedł do swego rodzinnego miasta. A towarzyszyli Mu Jego uczniowie. Gdy nadszedł szabat, zaczął nauczać w synagodze; a wielu, przysłuchując się, pytało ze zdziwieniem: „Skąd On to ma? I co za mądrość, która Mu jest dana? I takie cuda dzieją się przez Jego ręce! Czy nie jest to cieśla, syn Maryi, a brat Jakuba, Józefa, Judy i Szymona? Czyż nie żyją tu u nas także Jego siostry?” I powątpiewali o Nim. A Jezus mówił im: „Tylko w swojej ojczyźnie, wśród swoich krewnych i w swoim domu może być prorok tak lekceważony”. I nie mógł tam działać żadnego cudu, jedynie na kilku chorych położył ręce i uzdrowił ich. Dziwił się też ich niedowiarstwu. Potem obchodził okoliczne wsie i nauczał.

– Ta dziura po gwoździu... po wielkim, zardzewiałym, wygiętym ku górze gwoździu...

Rozproszyło go łkanie. To płakała Ćwierciakowska, która najwyraźniej oczyma duszy ujrzała ów gwóźdź i wstrząsały nią spazmy. Chrząknął i wierni odwrócili od niej głowy, by skupić się na jego ustach.

– Ta dziura po gwoździu – powtórzył – jest znamię naszych czasów. Młodzi szukają dziś innych proroków, którzy mówią im, że jesteśmy krewnymi małp, a nawet bananów, którzy mówią im, że drzwi świątyni to tylko drzwi, które wcale nie prowadzą do Boga, którzy mówią im, że nie ma żadnego Boga, że nie ma cudów, że człowiek jest produktem jakiejś ewolucji...

Wasze dzieci tego słuchają, wasze dzieci sięgają po zardzewiałe gwoździe i wbijają je w drzwi świątyni...

Bracia i siostry, musimy bronić naszej wiary przed tym gwoździem, przed tymi fałszywymi prorokami, którzy chcą porwać wasze dzieci, zabrać je do laboratoriów i oszukiwać, że tam właśnie dokonują się jakieś cuda. Powiadam wam, ten gwóźdź został wbity w nasze ciała, ten gwóźdź musi być dla nas wyzwaniem, rękawicą rzuconą przez szatana. Ta rana w drzwiach naszej świątyni będzie nam przypominać o tym, że musimy walczyć z szatanem. A szatan jest wszędzie, ale ukochał sobie Internet, z jego filmikami i linkami i pornografią, którą są nie tylko nagie ciała, zdjęcia kopulujących par, ale i niektóre tak zwane naukowe filmy. Te filmy zachęcają młodzież do wiary w zardzewiałe gwoździe, do wbijania zardzewiałych gwoździ w drzwi świątyni, do lekceważenia wiary ojców...

Dlatego, bracia i siostry, musimy wypowiedzieć wojnę szatanowi, który atakuje małuczkich i mówi im rzeczy, które burzą ich umysły...

Kasia-bibliotekarka wstała z ławki i zaczęła się przepychać przez tłum w kierunku wyjścia. W ostatnich czasach robiła to każdej niedzieli, nieodmiennie psując efekt jego kazań. Wiedział, że robi to złośliwie. Ludzie patrzyli na nią i przestawali myśleć o jego słowach. Pomyślał, że będzie musiał z nią poważnie porozmawiać, jej zachowanie stawało się coraz bardziej agresywne. Zastanawiał się nawet, czy nie wskazać jej teraz palcem, ale mógł to być miecz obosieczny. Lepiej nie drażnić licha, niech idzie.

Ludzie zdawali sobie jednak sprawę z napięcia, widzieli jego wzrok wpatrzony w plecy Kasi, ceremonia wielkiego kazania została zakłócona. Dyrektor miał wrażenie, że ktoś się roześmiał. Było to dość nieprawdopodobne, raczej niemożliwe, a równocześnie wystraszył się, że ktoś może dostrzec malujący się na jego twarzy ironiczny uśmiech. Pochylił głowę w nabożnym skupieniu. Ksiądz Marek chrząknął i nagle zakończył:

– Tyle jest słów na niedzielę dzisiejszą – powiedział i zbiegł z ambony.

Ania pochyliła głowę do ucha męża – to ona – szepnęła.

Beata przyszła po obiedzie do Dominiki, więc Dominika wyrzuciła Patrycję od komputera. Oczywiście natrafiła na opór żywej materii, która nie ruszając się z krzesła zapytała – dlaczego?

– *Ius primae noctis* – odpowiedziała Dominika – robimy projekt i potrzebujemy komputera.

– Wy macie projekt, a ja mam olimpiadę – naburmuszyła się Patrycja, broniąc swoim ciałem dostępu do cudownej maszyny.

– Spadaj Mała, bo cię uduszę w ramach obrony koniecznej.

Patrycja najwyraźniej zdała sobie sprawę z tego, że siedzi na straconej pozycji, wstała z krzesła, zebrała notatki i skierowała się w kierunku drzwi.

– Wieczorem oglądasz telewizję, bo ja na cały wieczór zamawiam Internet – powiedziała i zapytała Beaty, czy widziała jej karmnik. Beata podążyła za jej wzrokiem i dopiero teraz

zobaczyła stojący na biurku karmnik dla ptaków. Był pokryty słomą i wyglądał jak wiejska altana.

– Ta wariatka chciała go powiesić na drzewie na szkolnym podwórku, jeden taki powiesiła w lesie i ucieszyła się, że ktoś go natychmiast ukradł...

– No bo to znaczy, że się komuś spodobał, czy nie...

– Fajny jest, jak go zrobiłaś – zachwyciła się Beata.

– Jeden taki jest u Leszcza na oknie w kuchni, muszę mu dorobić specjalny rożen, żeby mógł nadziewać jabłka dla sikorek.

Usatysfakcjonowana zachwytem nad swoim rękodziełem Patrycja wyszła z pokoju, a Beata przypomniała sobie, że Dominika powiedziała coś, czego nie zrozumiała. Jej przyjaciółka powiedziała jej, że *ius primae noctis* oznaczało prawo pana do pierwszej nocy z każdą panną młodą wśród jego poddanych, a które ona interpretuje jako „biorę bo chcę, i takie moje prawo”. Młodsze rodzeństwo musi znać swoje miejsce, bo inaczej nie byłoby żadnego porządku na świecie.

Dziewczynki siadły przed komputerem i Dominika napisała tytuł projektu: Odnóża nartników, czyli o sztuce chodzenia po wodzie. Zerknęła na Beatę, która z powagą skinęła głową.

– Najważniejsze jest pierwsze zdanie – powiedziała Dominika – może zaczniemy tak: Chińscy badacze owadziach nóg, Xuefeng Gao i Lei Jiang z Chińskiej Akademii Nauk w Pekinie rzucili się na nogi nartnika.

Beata zachichotała nerwowo i powiedziała, że to „rzucili się na nogi nartnika” to jednak może kogoś zdenerwować. Zaproponowała, żeby napisać „przeprowadzili studia nad nogami nartnika”. Owady z gatunku *Gerris remigis* chodzą swobodnie po wodzie, nawet podczas ulewnych deszczy – stukała dalej w klawiaturę Dominika. Zdaniem badaczy utrzymywały by się na wodzie, nawet gdyby były 90 razy cięższe.

– Daj od razu źródło, bo się Leszcz będzie ciskał.

– Dobra, to się potem dopisze, czekaj, gdzie to było – Dominika otworzyła okno z artykułem, skopiowała i przeniosła fragment: „Naukowcy zaobserwowali, że nogi nartnika pokryte są mikroskopijnymi włoskami w kształcie igieł około 50 mikrometrów długości. Włoski te są z kolei poźłobione maleńkimi rowkami. Pod mikroskopem noga nartnika wygląda jak kłos żyta.”, tu damy źródło. Piszemy o tej mikrostrukturze heterogenicznej złożonej z ciała stałego i powietrza?

– a może coś takiego: każdy taki malutki włoszek zawiera bąbelek powietrza, więc nartnik jest jak łąający ponton. Chodzi po wodzie jak...

Dominika chrząknęła znacząco, ale kiedy Beata powiedziała, że chodzi po wodzie jak mały samochodzik, roześmiała się i ponownie zaczęła stukać w klawiaturę.

– Nartników jest w Polsce bez liku i pewnie każdy przyglądał się tym pluskwiakom z ciekawością jak biegają po wodzie, warto jednak wziąć pod mikroskop ich nogi, bo noga nartnika jest arcydziełem ewolucyjnej doskonałości. Bez trudu możemy sobie wyobrazić jak takie stawonogi zaczęły w dewonie kolonizować ziemię...

Z kuchni dobiegało rytmiczne stukanie. Dominika spojrzała znacząco na Beatę.

– Trzeba jej będzie łeb ukręcić, pewnie znowu przerabia mamy ukochaną szafkę na latawiec. Nie wiem skąd ona się wzięła w tej rodzinie, albo wbija gwoździe, albo robi dziury, gdyby ją Pan Bóg obdarzył rozumem to pomyślałabym, że to ona...

Beata roześmiała się na myśl o Patrycji wbijającej gwóźdź w drzwi kościoła. Musiałaby stawać na palcach, albo mieć ze sobą taboret. Idea była kusząca, potwór brał udział w polonistycznej olimpiadzie, świderki i młotki były jej żywiołem, nie chodziła na kółko biologiczne, ale była z Leszczem w komitywie.

– Ona jest do wszystkiego zdolna – powiedziała Dominika – a jakby jeszcze mogła mi

zrobić na złość, to przybiłaby te tezy nawet na dzwonnicy, a nie tylko na drzwiach kościoła. Tyle, że jeżeli to ona, to bez tortur niczego się nie dowiemy.

Dziewczynki pracowały jeszcze przez godzinę pisząc o nartnikach i innych stawonogach, a szczególnie o szczękoczułkowcach, które Dominika darzyła osobliwą sympatią, o starorakach i eksplozji pająków w późnym dewonie, kiedy to Bóg przyjrzał się stawonogom i powiedział: idźcie i rozmnażajcie się. I włożyły w każda szparę i rozmnażały się okrutnie, a anioły patrzyły na nie ze wstrętem jak poeci. Zastępy aniołów w dewonie były nieliczne i chwaliły Pana pochrząkiwaniem.

Marta Piasecka jak zwykle spędzała w swoim mieszkaniu wieczór pochylona nad zeszytami uczniów. Ona również tego wieczoru długo myślała o Patrycji. Poprawiała jej wypracowanie pod tytułem: „Moja ulubiona książka”. Patrycja pisała o „Małym księciu”, a właściwie o oswojaniu liska i przyjaźni. Wypracowanie kończyło się sentencją: „Myślę, więc nie wiem jak to będzie i to jest powodem wielu zmartwień”.

„Mały książę” jest małą książką o małym człowieku w za dużym wszechświecie – pisała Patrycja. Tę ogromną dysproporcję może trochę zmienić przyjaźń. Autor „Małego księcia” opisał to najpiękniej w swoim małym traktacie o oswojaniu. Lis boi się oswojenia i bardzo chce być oswojony. Tak bardzo chcemy prawdziwej przyjaźni, że musimy się jej bać. Od „Małego księcia” lepszy jest tylko „Shrek”. „Mały książę” jest świetny latem, kiedy wieczorem siedzimy na werandzie i patrzymy na wygwieżdzone niebo. Podczas wakacji wyrzeźbiłam sobie słonia, którego połknął wąż. Ten słoń ma znakomite pomysły, tyle, że zimą nie wszystkie daje się zrealizować. Mimo zimy oswoiłam liska, a właściwie on mnie oswoił, bo mu było bardzo smutno. Nie umiałam mu jednak pomóc, bo on właściwie chciał oswoić kogoś innego, ale wszystko się okropnie pokreśliło. „Myślę, więc nie wiem jak to będzie i to jest powodem moich zmartwień.”

Piasecka odłożyła zeszyt Patrycji na kupkę poprawionych zeszytów. Nie postawiła stopnia, narysowała tylko słonia połkniętego przez węża i znaczek z wielkim uśmiechem :-D.

6

Burmistrz uderzył pięścią w biurko – Sprawie tego cholernego gwoźdźdza trzeba wreszcie ukreślić łeb. To robi nam fatalny imidż. Moja córka studiuje w Warszawie i dowiedziała się o tym od jakiegoś chłopaka, który nigdy nie był w naszym mieście. Będziemy tu mieli pielgrzymki ateistów do dziury po gwoździu.

– Wałachowi ten gwoździec z nieba spadł – powiedział dyrektor. – Będzie go wykorzystywał przez całe lata...

– A może w nocy zaszpachlować tę dziurę i będzie spokój – zaproponował burmistrz.

– Jak wyjdzie, że to gmina, to się zrobi smród.

– To może nakazać Wałachowi zaszpachlowanie dziury dla dobra publicznego? Ta dziura jest źródłem niepokojów społecznych.

- Lepiej spróbować go przekonać, że zostawiając tę dziurę pogarsza sytuację. Ludzie nie przestają gadać, a młodzież się z niego śmieje....

– Tego mu lepiej nie mówić, bo się zaprze jak osioł.... Najbardziej się boję, że nigdy nie znajdziemy winnego i zostaniemy już z tym gwoździem na zawsze – zmartwił się burmistrz.

– To może wynająć detektywa?

– Tu raczej potrzebny jest jasnowidz. Słyszałem, że policja czasem używa jasnowidzów.

Rozmowę przerwał telefon od komendanta policji, który powiedział, że dostał wyniki

ekspertyzy i że na kartce były tylko odciski palców księdza Marka oraz odciski palców mniej więcej pięcioletniego dziecka. Podobno prokurator chciał odrzucić sprawę z powodu znikomej szkodliwości społecznej, ale były naciski, żeby rozpocząć dochodzenie. Tezy i gwóźdź pozostają chwilowo w gestii prokuratury, jako dowody rzeczowe.

Burmistrz z ciężkim sercem odłożył słuchawkę i podzielił się informacjami z dyrektorem. Sięgnął po gazetę z wielkim zdęcieniem pająka Dominiki Malinowskiej. Dyrektor powiedział, że rozmawiał z Justyną Zielińską z „Naszego Głosu”, ale wywiad był przeprowadzony na gruncie prywatnym i w zasadzie nie dotyczył szkoły, więc nie było się czego czepiać.

– Czy oni naprawdę nie mają już o czym pisać – prychnął gniewnie burmistrz. – W obecnej sytuacji to tylko ludzi podburza. I to Justyna, jeszcze jak była w gimnazjum, dawałem jej nagrodę burmistrza za najlepsze wyniki w nauce, a ona teraz takie rzeczy wypisuje. – Niespodziewanie spojrzawszy badawczo na dyrektora – Słuchaj, a może to właśnie wymyślił ktoś z gazety? Może chcieli mieć o czym pisać?

Po wyjściu z Urzędu dyrektor postanowił przed powrotem do szkoły wstąpić na posterunek policji. Niepokoiła go informacja o odciskach palców dziecka. Z tego co wiedział, w kręgu podejrzanych tylko w domu Leszczyńskich było dziecko w tym wieku, co mogłoby oznaczać, że mały Staś maczał w tym palce. Leszczyński czasem żartował sobie z księdza Marka, ale chyba by się do tego nie posunął, człowiek po swojemu wierzący, chociaż niepraktykujący, często podkreślał, że Jan Paweł II akceptował ewolucję jako fakt, więc na pewno nie posunąłby się do takiego kroku, ale jeśli okaże się, że to odciski palców Stasia...

Komendanta Marciniaka przysłano z innego miasta, po tym jak na komisariacie pobito pijanego, który nigdy nie odzyskał już przytomności i zmarł w trzy tygodnie później. Mimo, że komendant mieszkał już w miasteczku szesnaście lat, nadal uważano go za obcego. Miał opinię człowieka, z którym trudno pogadać, bo zawsze odmawiał poczęstunku. Wszyscy się zdziwili, kiedy jego córka powiedziała w szkole, że jej ojciec bierze czasem do ręki gitarę i śpiewa. Tego się po komendancie nikt nie spodziewał.

Komendant przywitał dyrektora serdecznie i poprosił go do swojego pokoju. Był to raczej kantor niż gabinet i nie mógł robić dobrego wrażenia na przestępcach, szczególnie tych, którzy jeździli lepszymi samochodami. A tych w miasteczku było kilku, a może nawet więcej, bo nie wszystko o wszystkich było wiadome, a to co było wiadome musiało być tylko czubkiem góry lodowej. Wielu ludzi przez lata jeździło do Niemiec, a niektórym udawało się lepiej, chociaż wydawało się, że właśnie im powinno udawać się gorzej. Komendant twierdził, że recydywa jest zjawiskiem powszechniejszym niż resocjalizacja i z podejrzliwością traktował niejasne sukcesy finansowe tych z więzienną historią.

Więc usiedli w pokoju komendanta i dyrektor zapytał – co słyhać. Komendant najwyraźniej spodziewał się tego pytania, bo odpowiedział, że prokuratura nie podjęła jeszcze formalnej decyzji, ale prawdopodobnie śledztwo w sprawie ostatnich wydarzeń będzie jednak prowadzone.

– Ale wasze własne dochodzenie jeszcze nic nie wykazało – zapytał dyrektor.

– Wie pan – odpowiedział komendant – dla mnie to jest wielka tajemnica. Nie wydaje mi się, żeby to te dzieciaki zrobiły. To są grzeczne i dobre dzieciaki, nie to co te łobuzy z bloków. Tam są prawdziwe problemy – wódka, narkotyki, kontakty z dorosłymi przestępcami, kradzieże i zwykły wandalizm. Wczoraj jakiś gówniarz przejechał gwoździem po czterech samochodach stojących przy krawężniku. Nawet jakbym go złapał, to bym go musiał puścić.

Dyrektor kiwał głową ze zrozumieniem, w końcu znał ten temat lepiej niż inni. Równocześnie jednak, znani młodocieni kryminaliści nie mieli ani powodu, ani

intelektualnych kwalifikacji do sformułowania takich tez.

– Wie pan – zaczął – ja wiem, co tam było napisane tylko od księdza Marka, ale przecież pan też je czytał...

Komendant uśmiechnął się i wyciągnął z szuflady teczkę, z której wyjął kartkę papieru – wiedziałem, że będziemy prowadzili dochodzenie, więc zrobiłem sobie kopię – powiedział, podając kartkę dyrektorowi. Mimo, że kopia robiona była przez plastik była bardzo wyraźna. Litery były duże i wytłuszczone, zapewne komuś zależało, żeby były łatwe do odczytania z pewnej odległości. Tytuł był uszkodzony, ale dawało się odczytać: „Tezy Gimnazjalnego Koła Badaczy Owadzych Nogów”. Same tezy brzmiały następująco:

1. Mniej religii więcej wiedzy,
2. I beg to differ, I do it all the time...
3. Chcemy znać całą prawdę o naszych wspólnych genach z bananem.
4. Żądamy globalnego ocieplenia w szkole.
5. Chcemy wiedzieć, co się kryje za horyzontem.
6. (Tezy 6-95) Inne.

Pod spodem był tą samą czcionką napisany podpis: Piotr Płaksin. Dyrektor zapytał, czy mógłby otrzymać kopię tych tez. Komendant wzruszył ramionami – nie sądzę – powiedział, aby dobro śledztwa wymagało trzymania ich w tajemnicy. Może nawet przeciwnie – dodał.

– Ale prasie pan tego nie ujawniał – zaniepokoił się dyrektor.

– Zawsze odsyłam prasę do moich przełożonych, niech się powiat martwi.

– To słuszna polityka – zgodził się dyrektor. Rozumiem, że pan już rozmawiał z moimi uczniami...

– Tak i napisałem do prokuratury, że w zasadzie nie widzę możliwości ustalenia sprawcy – odpowiedział komendant.

– A prywatnie ma pan jakieś podejrzenia?

– komendant roześmiał się – dwóch groszy bym nie dał za Mikołaja...

– Zawsze miałem go za takiego cichego dobrze ułożonego ucznia...

– Ja mam lepszy wywiad w szkole, moją córkę. Ale nawet jeśli to on, to nikt mu tego nigdy udowodni.

– Można sprawdzić jego komputer...

– Nie przyszło mi to do głowy i nie wiem czy będę to proponował.

Marta Piasecka na wiadomość, że na koronnym dowodzie zbrodni znajdowały się odciski palców małego dziecka powiedziała, że w takim razie sprawa jest rozstrzygnięta, jest to zbrodnia Piotrusia Pana, który dla niepoznaki podpisał się pseudonimem „Płaksin”. Powiedziała dyrektorowi, że cała sprawa z „Chandrą Unyńską” wydawała jej się podejrzana, gdyż o ile mogła zrozumieć zachwyty jakiegoś młodego człowieka „Satyrą na bożą krówkę”, to „Chandra Unyńska” zupełnie już nie trafia do młodych umysłów. Jeśli to jednak jest sprawka Piotrusia Pana, to sprawa jest zupełnie zrozumiała.

– Przestań sobie żartować i powiedz mi lepiej kogo byłoby stać na napisanie tych tez?

Piasecka niespodziewanie spoważniała, na jej twarzy pojawiła się złość. – Jesteś moim bratem – powiedziała – spieraliśmy się o wszystko przez całe życie, ale jeszcze nigdy nie różniliśmy się tak jak teraz. Jedno ci powiem, jeśli to zrobił któryś z naszych uczniów i jeśli ty go wydasz, to marny twój los, bo zatruję ci resztę życia, a w obronie tego ucznia wystąpię tak głośno, że cała Polska usłyszy.

– Więc wiesz kto to zrobił?

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć i niech was wszyscy diabli wezmą – powiedziała trzaskając drzwiami.

W pokoju nauczycielskim Krzysztof Leszczyński siedział nad jakimiś papierami, a Wałach stał przy tablicy z kluczami do klas. Piasecka nie ukloniła się księdzu, a ksiądz nigdy nie kłaniał się pierwszy.

– Znamy resztę też gimnazjalnego koła owadzich nogów – powiedziała Piasecka.

Leszczyński podniósł głowę z zaciekawieniem i zerknął z niepokojem na Wałacha, który zdejmował klucz z haczyka.

– Żądają globalnego ocieplenia w szkole oraz chcą wiedzieć, co kryje się za horyzontem. Ciekawe, dlaczego nikt nam o tym nie powiedział?

Ksiądz Marek zdecydowanym krokiem wyszedł z pokoju. Piasecka przysiadła się koło Leszczyńskiego.

– Podobno komendant podejrzewa Mikołaja, ale nie ma zamiaru tego drążyć.

– Pewnie kiedyś będziemy opowiadali o zabawnej historii, ale teraz to nie jest śmieszne – powiedział Leszczyński, a Piasecka delikatnie dotknęła jego ręki. – Żałuję, że nie mam jeszcze uprawnień do pomostówki – dodał.

– Na pomostówki to należy wysłać tych wszystkich idiotów, żeby się odczepili od naszych dzieci.

– Boję się, pani Marto, że to my jesteśmy tu elementem niepożądanym.

Piasecka spojrzała na leżące przed nim papiery i uniosła brwi.

– Przygotowuję się do akcji „Więcej dyscypliny i patriotyzmu”.

– Wiesz już na której lekcji będzie Dziubińska?

– Pewnie na trzeciej, z 3a, nie zamierzam się za bardzo babskiem przejmować, ale muszę napisać o moich odstępstwach od programu ministerstwa.

– Popełniasz jakieś odstępstwa – zapytała Marta Piasecka z udawanym zdumieniem i przerażeniem.

– Właśnie napisałem, że bezwzględnie przestrzegam programu, starając się kreatywnie wykorzystywać jego mocne strony. Program gimnazjalny powinien uczniów przygotowywać do podjęcia programu licealnego. Jest rzeczą szczególnie ważną, aby uczniowie rozumieli zjawiska zachodzące w przyrodzie zgodnie z wytycznymi ministerstwa...

– A na poważnie...

– A na poważnie to najchętniej zaprosiłbym Maćka, żeby opowiedział jak ukradł dzieła zebrane Darwina...

– A jak ukradł?

– Przyszedł do biblioteki z torbą, włożył je wszystkie do torby, uklonił się Kasi i poszedł.

Piasecka uśmiechnęła się i patrzyła na Leszczyńskiego wyczekująco.

– A potem przez trzy tygodnie nie pił, bo nie miał czasu...

– Wyście kiedyś chodzili razem do szkoły...

– ...i siedzieliśmy w jednej ławce. Maciek rozpił się na studiach i nie umiał już z tego wyjść.

– Widujecie się czasem?

– To jest dalej bardzo fajny człowiek, tylko ciężko chory...

– A co naprawdę przygotowujesz na tę hospitację?

– Dominika i Beata pokażą swoją prezentację o owadzich nogach.

– Musisz?

– Chcę, uczniowie nie mają prawa zobaczyć, że się boję. Lekcja z Dziubińską czy bez musi być zupełnie normalna.

Wieczorna narada wojenna w sprawie rezygnacji z chodzenia na religię odbywała się u

Pawła w domu. Pani Marta powiedziała im, że pewnie będą musieli mieć oświadczenia rodziców, Paweł i Dominika mogli dostać takie oświadczenia, ale Beata, Mikołaj i Rysiek nie mogli nawet o tym marzyć.

– Napiszemy grupowe oświadczenie z kopią do ministerstwa i do „Gazety Wyborczej” – zaproponował Paweł.

– To nie jest dobry pomysł, trzeba to jeszcze raz przedyskutować z panią Martą – powiedziała Beata – tylko najpierw musimy dobrze sformułować nasze argumenty.

– Najlepiej powiedzieć, że zostaliśmy buddystami – zaproponował Mikołaj.

– Napiszemy, że ksiądz Marek obraża nasze buddyjskie uczucia religijne – ucieszył się Paweł.

– Myślicie, że można się uczciwie przyznać, że nas taka nauka religii nie interesuje – zapytała Dominika.

– To nie zostanie dobrze przyjęte, nic prócz obrażonych uczuć religijnych ich nie przekona, uczciwość nie wchodzi w rachubę – upierał się Mikołaj.

– Rysiek by to najlepiej wymyślił, szkoda, że go nie ma – powiedziała Beata, a Dominika odburknęła, że może się z nim umówić, bo dostał SMS-a i jeśli nie przyszedł, to widać nie chciał.

Ostatecznie postanowili złożyć swoje oświadczenie na ręce Piaseckiej, motywując swoją decyzję innym światopoglądem oraz zainteresowaniem etyką.

– Nadal optuję za buddyzmem, albo za przyłączeniem się do Kościoła Latającego Potwora Spaghetti – powiedział Mikołaj, zastanawiając się, jak wyjaśni ojcu, że ma wątpliwości, w sprawach, w których zdaniem jego ojca była tylko pewność.

7

Dyrektor raz jeszcze przejrzał założenia akcji „Więcej dyscypliny i patriotyzmu” i naszkicował sobie główną linię obrony. Dziubińska przetrwała już kilku kuratorów i niewątpliwie stanowiła samą istotę tej instytucji. Domyślał się, że tym razem będzie reprezentowała nie tylko literę ostatniej dyrektywy, ale również ducha, którego w oświacie było w ostatnich latach wyjątkowo dużo.

Wiele zależy od tego, jaka wizja historii z gwoździem obowiązuje w kuratorium. Czy jest możliwe, że sprawą zainteresował się sam kurator, czy są to tylko lęki samej Dziubińskiej? Nie można wykluczyć, że odbyły się tam już jakieś narady i że Dziubińska przyjedzie z gotowymi wytycznymi.

Wyjrzał na szkolny parking sprawdzając, czy nikt nie zajął miejsca zostawionego dla samochodu pani wizytator, uporządkował biurko kładąc na widocznym miejscu najnowszą korespondencję z kuratorium, upewnił się, że krzyż wisi nad drzwiami, dokładnie tam gdzie wisiał wczoraj.

Był po bezsennej nocy, gdyż nie dała mu zasnąć wieczorna rozmowa telefoniczna z Justyną Zielińską. Justyna miała bezpłatny staż w „Naszym Głosie”, gdyż studiowała zaocznie dziennikarstwo i komunikację społeczną, więc taki staż dawał jej pewnie dodatkowe punkty. W tym roku ma robić licencjat i, jak sama powiedziała, zależy jej na publikacjach, które zwrócą uwagę. Zadzwoiła wieczorem, żeby się dowiedzieć, jaki jest jego stosunek do faktu, że grupa uczniów chce zrezygnować z lekcji religii. Wiedział, że uczniowie mówili o tym Marcie, ale nie podejrzewał, że sprawa przedostała się już do opinii publicznej. Powiedział, że musi zbadać przepisy, bo nigdy jeszcze się z czymś takim nie zetknął, i że nie sądzi, aby to było dobre, bo ostatecznie uczniowie nie mogą sobie zrezygnować z jakiegoś przedmiotu nauczania tylko dlatego, że nie odpowiada im nauczyciel. Zielińska wyraziła opinię, że religia nie jest zwykłym przedmiotem i że przymus w tej sprawie mógłby być

niekonstytucyjny. Tak właśnie powiedziała „niekonstytucyjny”. To słowo utrudniało mu sen, bo mogło oznaczać jeszcze większe zainteresowanie jego szkołą niż z powodu gwoźdźcia.

Dziubińska po przyjeździe przyjęła zaproszenie na kawę, więc usiedli w jego gabinecie, aby omówić plan akcji „Więcej dyscypliny i patriotyzmu”, która to akcja, zdaniem dyrektora, wymagała pewnego zwiększenia nacisku na nauczanie historii, starannego przygotowywania obchodów świąt państwowych, organizowania wycieczek do muzeów i podnoszenia świadomości.

Dziubińska zgodziła się z nim, że w tej akcji właśnie podnoszenie świadomości jest szczególnie ważne, tym bardziej, że w tej szkole najwyraźniej są pewne, poważne problemy.

Dyrektor postanowił uprzedzić wydarzenia i poinformować kuratorium, że może się wyłonić nowa, kłopotliwa kwestia. Powiedział, że grupa uczniów wyraziła zainteresowanie nauczaniem etyki.

– A co, jakieś niechrzczone – zapytała zdumiona Dziubińska.

– Nie, nie, to jest młodzież z porządnymi katolickimi rodzinami – zapewnił dyrektor – problem polega na tym, że woleliby raczej etykę niż religię.

– Rodzice też tak uważają – zainteresowała się Dziubińska – ostatecznie to jest gimnazjum, uczniowie nie są jeszcze pełnoletni i o ich nauce powinni decydować rodzice.

Dyrektor zapewnił, że się z nią całkowicie zgadza, ale chciałby jednak sprawę przedyskutować, upewnić się jak stanowią przepisy, żeby nie wywoływać wilka z lasu, szczególnie, że już zainteresowała się tym prasa...

– Panie dyrektorze – zdenerwowała się Dziubińska – przepisy mówią jasno, że rodzice mają prawo wychowywać swoje dzieci w swojej wierze, jeśli ich wyznanie ma uregulowaną sytuację prawną; to są chrzczone, katolickie dzieci, więc nie wiem, gdzie jest problem. Jeśli im się zachciewa ateizmu, to po pierwsze, ateizm nie jest wyznaniem, a po drugie nie ma uregulowanej sytuacji prawnej. Szkoła na pewno ateizmu propagować nie będzie.

Dyrektor sięgnął po filiżankę, zastanawiając się jak to rozegrać. – Czyli mogę się w tym przypadku powołać na opinię kuratorium?

– Panie dyrektorze, to pan jest dyrektorem, a menadżer powinien mieć odwagę samodzielnego podejmowania decyzji. To są delikatne sprawy. Jest kilka takich przypadków w województwie i nie należy dopuszczać, żeby się ta zaraza szerzyła. Ciekawa jestem, czy waszą gminę stać na zatrudnianie etyka?

– Tak, to osobna sprawa, nawet chciałem zapytać, czy kuratorium wie, gdzie się takiego etyka szuka?

– To nie jest nasza sprawa, my możemy powiedzieć jakie są wymagane kwalifikacje i mogę pana zapewnić, że nikogo takiego pan tu nie znajdzie.

– No tak, ale pozostaje fakt, że jeśli uczniowie będą chcieli zrezygnować z chodzenia na religię, to nie mogę ich do tego zmuszać...

– Jeśli będą mieli oświadczenia rodziców to poniekąd jakby rzeczywiście, ale przecież sam pan mówił, że to uczniowie z katolickich rodzin...

– Podobno przepisy nie są tu tak do końca klarowne, podobno przymus mógłby się okazać niekonstytucyjny...

Dziubińska przyglądała mu się podejrzliwie. Zapytał, czy dolać jej kawy z termosu, ale odmówiła. Ciasteczka też odmówiła, spojrzęła na zegarek i poprosiła o dokumentację do wglądu.

Kiedy Leszczyński wszedł do klasy Dziubińska siedziała już w ostatniej ławce i robiła notatki. Podeszedł, przywitał się i wrócił do swojego stołu. Poinformował uczniów, że na lekcji będzie obecna pani z kuratorium, ale lekcja będzie się odbywać tak jak normalnie,

ponieważ kuratorium interesuje właśnie normalna lekcja.

– Beata i Dominika – powiedział nie patrząc w kierunku siedzącej w kącie kobiety – przygotowały kolejną prezentację z cyklu „Jedność i różnorodność życia”. Rozumiem, że macie jakieś zdjęcia. Nie mamy rzutnika, więc musimy korzystać z komputera. Proszę bardzo.

Uczniowie jak na komendę zabrali krzesła, odsunęli pierwsze ławki i skupili się wokół stołu nauczyciela. Dziubińska pozostała samotna w swojej ławce na końcu klasy. Beata włożyła CD do stacji laptopa i otworzyła pierwsze zdjęcie. Leszczyński zajął miejsce wśród pozostałych słuchaczy, Dominika rzuciła okiem na notatki i zaczęła:

– Bezkęgowce są miękkie więc i śladów kopalnych nie mamy zbyt wiele, a jednak są, co przekracza moje zrozumienie i prędeż czy później dowiem się jak to jest możliwe, chwilowo wierzę na słowo. Wbiłyśmy z Beatą w wyszukiwarkę hasło „starodawne pająki” i wyskoczył nam artykuł amerykańskiego biologa PZ Myersa, w którym pokazuje skamieliny pajaków sprzed 380 milionów lat. Musiały już dość długo paradować po ziemi, bo, jak dowodzi autor, umiały prząść nici. Nasuwa się tu poważne pytanie: jakie istoty pierwsze skolonizowały lądy? Oczywiście musiały to być bakterie, a ze zwierząt nieco bardziej skomplikowanych z pewnością były to insekty. Chwilowo pewnych rzeczy musimy się domyślać, ale z każdym miesiącem wzrasta liczba danych kopalnych. (Coraz więcej ludzi wie co, gdzie i jak kopać – dorzuciła z boku Beata) No więc – ciągnęła dalej Dominika – pierwsze na ląd wyszły nie ryby, a bakterie, po nich zapewne jakieś ślimaki i insekty. Skupiłyśmy się na nartnikach, bo to dziwne stwory chodzące równie swobodnie po lądzie i po powierzchni wody. Nogi nartnika...

Dziubińska zaczęła się skradać w kierunku skupionej wokół laptopa grupy uczniów.

– Chce pani usiąść razem z nami – zapytał uprzejmie Mikołaj – jak znam Dominikę zaraz porzuci nartniki i zacznie opowiadać o wielkich, owłosionych pająkach. W dawnych dobrych czasach karbonu niektóre z nich musiały być wielkie jak samochody...

– Na ile czasu jest zaplanowana ta prezentacja – zapytała Dziubińska.

– Zazwyczaj razem z dyskusją zajmuje to około 20 minut, potem przeglądamy materiał z podręcznika i planujemy kolejne prezentacje – odpowiedział Leszczyński.

– Czyli to młodzież prowadzi lekcje, a nie pan?

– Nie zawsze...

– No cóż, chyba już zobaczyłam, co chciałam zobaczyć, mam jeszcze do pana kilka pytań, ale to może już podczas przerwy u pana dyrektora.

Kiedy pół godziny później Leszczyński wszedł do gabinetu dyrektora Dziubińska rozmawiała przez telefon. Usiadł i sięgnął po leżącą na stoliku broszurę ostrzegającą przed narkotykami. Wizytatorka skończyła rozmawiać.

– Czy dobrze rozumiem, że koncentruje pan swoje lekcje wyłącznie na ewolucji – zapytała.

– Niezupełnie, ewolucja jest tylko teorią łączącą wszystkie elementy biologii...

– Aha, rozumiem, a jakie są tematy tych prezentacji, czy ma pan je może gdzieś spisane.

– Tematy lekcji są zapisane w dzienniku – odpowiedział sucho Leszczyński.

– Wie pan, wydało mi się dość dziwne, że akurat dziś uczennice prezentowały temat o owadach nogach, czy może uważa pan to za naturalne?

– To uczniowie proponują temat, a ja staram się wykorzystywać ich wcześniejsze zainteresowania, jeśli uczeń interesuje się psami, przygotowuje znacznie lepszy materiał o historii udomowienia psów i o doborze sztucznym.

– Więc to uczniowie układają program – zdziwiła się Dziubińska. – Czy pan jest wierzący

– niespodziewanie zmieniła temat.

– O ile wiem, to moja prywatna sprawa – odpowiedział Leszczyński wstając. Dziubińska nie zamierzała jednak kończyć swoich pytań.

– Czy to prawda, że grupa uczniów z pana kółka biologicznego postanowiła przestać chodzić na religię?

– Nic o tym nie wiem, dlaczego pani o to pyta?

– A nie uważa pan, że to może być interesujące? Tezy gimnazjalnego kółka biologicznego przybite do drzwi kościoła, grupa uczniów rezygnująca nagle z religii, bardzo dziwny sposób prowadzenia lekcji, podczas których uczniom pozwala się na wszystkie zachcianki... czy nie ma pan wrażenia, że to wszystko układa się w jakąś całość?

Rozmowę przerwało wejście dyrektora. Najwyraźniej dostrzegł jakieś napięcie, bo zapytał czy nie przeszkadza, ale Leszczyński zapewnił go, że właśnie skończyli rozmawiać z panią wizytator i że idzie przygotować się do kolejnej lekcji. Kiedy zostali w pokoju sami, Dziubińska zapytała dyrektora o ocenę nauczyciela biologii, na co dyrektor odpowiedział, że jest to jedyny nauczyciel, którego uczniowie co roku zdobywają różne wyróżnienia na olimpiadach, co może świadczyć o jego dość wyjątkowych zdolnościach.

– Nie wydaje się panu, że to jeszcze nie wszystko, że ten nauczyciel może mieć jakiś negatywny wpływ na uczniów?

Dyrektor nie do końca był pewien jak powinien się zachować i na wszelki wypadek raz jeszcze zaproponował kawę. Pani wizytator najwyraźniej uznała jednak wizytę za zakończoną, pożegnała się i udała się w kierunku swojego samochodu.

Justyna Zielińska podniosła słuchawkę i odłożyła ją ponownie. Pomyślała, że są takie sprawy, o których lepiej rozmawiać w cztery oczy. Była przekonana, że Halina Dąbrowska będzie wieczorem na spotkaniu w bibliotece, gdzie radny Boruta miał mówić o „Szlacheckich dworach i innych zabytkach architektonicznych naszej małej ojczyzny”. Była ciekawa, czy dyrektor poinformował już rodziców o rewolcie uczniów przeciw chodzeniu na religię, a z drugiej strony obawiała się, że jeśli Paweł nie powiedział matce, to może wywołać burzę. Dominika przysłała jej wiadomość, że na lekcji Leszczyńskiego była wizytacja. Mogło to oznaczać, że szukają nie tylko winnego afery z gwoździem, ale i kogoś, kogo można by ukarać wśród nauczycieli. Jeśli teraz zacnie protestować grupa rodziców, sprawa może być interesująca nawet dla większej gazety.

Zdaniem Dąbrowskiej w sprawie gwoźdza wszystkie nici prowadziły do Kasi-bibliotekarki. Kasia miała motyw, bez wątpienia miała swoje powody, żeby chcieć zrobić na złość Wałachowi, miała również stałe kontakty z młodzieżą gimnazjalną i mogła wiedzieć o jej konfliktach z katechetą, ale czy mogła wyczuwać pragnienie tej młodzieży, żeby ujawnić co kryje się za horyzontem? Justyna uśmiechnęła się do własnych myśli, Oczyma duszy zobaczyła tytuł w jakimś ogólnokrajowym dzienniku: „Młodzież żąda globalnego ocieplenia w szkole”. Z każdym dniem była bardziej przekonana, że ma w ręku materiał na dużą opowieść. Nie wolno się spieszyć, ale trzeba uważać, bo temat może być kuszący i dla innych. Jeśli zaczną się naciski na rodziców może to wywołać reakcję. To może być interesujące.

8

W nocy z wtorku na środę nieznany sprawca zaszpachlował dziurę w drzwiach kościoła Najświętszej Marii Panny. Ksiądz Wałach domagał się sprowadzenia policji z psami, ale, jak

powiedział komendant, policję z psami sprowadza się w przypadkach mordu lub zaboru poważnego mienia. Ta uwaga wywołała gniewne komentarze księdza, na temat państwa ignorującego przestępczość.

Dziura zaszpachlowana była nieudolnie i zamalowana farbą o nieco innym niż drzwi odcieniu brązu, spod której kropla kleju wyciekła jak łza. Popołudniowy pod osłoną nocy czyn uzależnionemu filozofowi przypomniał wieszanie krzyży w Sejmie, a dyrektorowi niedawną rozmowę z burmistrzem. Ksiądz rozważał, czy nie wydłubać trocin z otworu, ale doszedł do wniosku, że może to być różnie interpretowane przez wiernych. Przyglądał się w zadumie zastygłej kropli kleju i miał ją potem przed oczyma, przygotowując kazanie o konieczności święcenia pól przed rozpoczęciem prac polowych.

Do pierwszej orki było jeszcze daleko, ale w ubiegłym roku niektórzy rolnicy wyszli w pole zanim rozpoczęły się święcenia, a potem susza zniszczyła część plonów.

Zaszpachlowanie dziury po gwoździu zbiegło się w czasie z listem poleconym jaki Krzysztof Leszczyński otrzymał z Komendy Wojewódzkiej Policji, który to list wzywał go, aby się stawił z synem Stanisławem, urodzonym 26 marca 2003 roku, celem pobrania odcisków palców wyżej wymienionego.

List odebrała żona nauczyciela biologii i przekazała mężowi informację o jego treści telefonicznie. Odebrał telefon na przerwie (podczas lekcji jego telefon był zawsze wyłączony) i Marta Piasecka pierwsza zwróciła uwagę na jego zmieniony głos i pobladłą twarz.

– Nie przejmuj się – powiedział w słuchawkę – zastanowimy się nad tym wszystkim jak wróć.

Przerwał rozmowę i odwrócił się do okna. Marta podeszła do niego bliżej i zapytała półgłosem, co się stało. Powiedział, że policja chce pobrać odciski palców Stasia. ”Mam wrażenie, że znaleźliśmy się w jakimś kafkowskim świecie” – dodał.

Kiedy w chwilę później zadzwonił na komendę mówiąc, że nie zamierza nikomu pozwolić na branie odcisków palców jego pięcioletniego syna, oficer poinformował go, że w tym przypadku policja jest tylko wykonawcą poleceń prokuratury, że sam jest nieco zdziwiony tym niecodziennym zleceniem, ale wszystko co mogą zrobić, to włączyć w to policyjnego psychologa, żeby dziecko nie czuło się tą procedurą upokorzone. Leszczyński zapytał z kim może się w tej sprawie skontaktować w prokuraturze. Oficer z pewnymi oporami przekazał mu nazwisko prokurator Danuty Zając, której podpis figurował na zleceniu.

Jak na kolejnej przerwie dowiedział się Leszczyński, prokuratorzy nie mają czasu na tego rodzaju rozmowy i mógł co najwyżej przedstawić swoją sprawę sekretarce, która odmówiła podania swojego nazwiska, ale uprzejmie zapytała o co chodzi. Powiedział jej, że został wezwany do stawienia się na policji ze swoim pięcioletnim synem, żeby pobrać od niego odciski palców i że nie zamierza się nigdzie stawiać, nie wie w czyjej chorej głowie pojawił się pomysł, że jego pięcioletni syn mógł popełnić jakieś przestępstwo i że wszystko, co może zrobić, to przekazać prasie informację o nakazie pani prokurator. W tym momencie sekretarka poprosiła go, żeby poczekał przy telefonie i po chwili okazało się, że prokurator Zając mogła jednak podnieść słuchawkę. Podał numer sprawy i powiedział, że nie zamierza stawiać się na to wezwanie.

– Zdaje pan sobie sprawę z odpowiedzialności karnej – zapytała prokurator.

– Zdaje pani sobie sprawę z absurdalności waszych podejrzeń, wydaje wam się, że mój pięcioletni syn powiesił jakąś kretyńską kartkę na drzwiach, na wysokości stu siedemdziesięciu centymetrów nad ziemią?

– Prowadzimy czynności prokuratorskie w związku z przestępstwem, które zgodnie z paragrafem 196 kodeksu karnego zagrożone jest karą więzienia do lat dwóch. Muszę pana ostrzec, że odmowa stawienia się z synem na policji może być interpretowana wyłącznie jako pańskie przyznanie się do winy, ponieważ mamy powody, aby podejrzewać, że te tezy zostały wydrukowane w pana domu...

- Możecie sobie podejrzewać co wam się podoba, ale wara wam od mojego dziecka...
- Na pana miejscu liczyłabym się bardziej ze słowami.

Leszczyński rozłączył się bez pożegnania i poszedł na kolejną lekcję. W klasie 2c miał mówić o budowie i podziale komórki. Wszedł do klasy i zaczął przygotowywać mikroskop. Żywa, ruszająca się komórka przemawiała do wyobraźni uczniów znacznie bardziej aniżeli rysunki.

Marta Piasecka poprosiła Pawła, żeby on, Dominika, Beata, Mikołaj i Ryszard zostali po lekcjach. Kiedy przyszli powiedziała im, że prokuratura prowadzi śledztwo i podejrzewają pana Leszczyńskiego. Mikołaj parsknął śmiechem. Piasecka spojrzała na niego surowo.

– To się może wydawać śmieszne, ale widocznie komuś naprawdę zdaje się, że te tezy mógł w nocy przybić pan Leszczyński, albo że stało się to za jego namową czy przyzwoleniem.

– Ale my naprawdę nie mamy z tym nic wspólnego – powiedziała Dominika.

– Domyślam się, równocześnie zastanawiam się, czy wasz pomysł zbiorowej rezygnacji z chodzenia na religię jest w tej chwili najlepszy. W normalnej sytuacji uważałabym, że nie mam prawa wam tego odradzać, teraz zaczęłam się zastanawiać...

– Co to znaczy, że pana Leszczyńskiego podejrzewają – zapytał Ryszard – czy wezwali go na jakieś przesłuchanie?

– Trudno w to uwierzyć, ale podobno na tej kartce były odciski palców dziecka i prokuratura chce pobrać odciski palców małego Stasia...

– Co za idioci – wykrzyknął Paweł – przecież prędzej Walach by to sam powiesił niż, żeby pan Leszczyński coś takiego zrobił, albo chociażby na to pozwolił? Oni są chyba kompletnie wymóżdzeni...

– Paweł! Po pierwsze ksiądz Marek, a po drugie... nawet jeśli się z tobą zgadzam, to wyraziłabym to trochę inaczej.

– No dobrze – powiedział Ryszard – ale co to za przestępstwo? Ktoś przyczepił kartkę na drzwiach kościoła, co takiego strasznego się stało?

– W kodeksie karnym jest artykuł, który mówi, że kto obraża uczucia religijne innych ludzi, albo miejsca kultu podlega karze.

– Ale jak na murze kościelnym jest graffiti HWDP, swastyka i przekleństwa, to nikogo nie obraża, obraża ich dopiero jakaś głupia kartka – oburzył się Mikołaj – ja nie wiem, czy powinniśmy siedzieć cicho. Oni nie mają prawa czepiać się pana Leszczyńskiego.

Marta Piasecka przyglądała się ich twarzom i zastanawiała się, co im może powiedzieć. Pewnie nie po raz pierwszy spotykali się z bezmiarem ludzkiej głupoty i oportunistycznym, teraz byli jednak stroną tego dramatu; nie mogła również wykluczyć, że któreś z nich było sprawcą całego zamieszania. Wydawało jej się to dość nieprawdopodobne, a jednak musiało to mieć z nimi jakiś związek.

Ryszard siedział z boku. Marta wiedziała, że Dominika zerwała z nim miesiąc temu i właściwie, albo z własnej woli, albo z innej przyczyny, znalazł się poza grupą. Cała piątka siedziała wystraszona i niepewna.

– Myślę, że nasi rodzice powinni wystąpić z protestem – powiedział Paweł.

– Czy sądzi pani, że możemy pójść do pana Leszczyńskiego, żeby mu powiedzieć... – zaczęła Beata.

– Co mu możemy powiedzieć – przerwał jej Mikołaj – że go lubimy? Dużo mu to pomoże. Wiecie co, ja mam pomysł. Ja się przyznam, że to zrobiłem. Co mi zrobią, najwyżej oberwę od ojca.

– Będziemy się przyznawać po kolei, każde z nas będzie mówiło, że to on, albo ona –

zapropował Paweł.

Do klasy zajrzał dyrektor – Marta, czy mogę cię poprosić – powiedział. Piasecka wyszła na korytarz. Powiedział jej, że na Leszczyńskiego pod domem czekał samochód policyjny. Przyjechali, żeby zabrać jego laptop. Piasecka zapytała brata, co zamierza zrobić.

– A co ja mogę zrobić – odpowiedział – na tym etapie możemy tylko czekać na wynik dochodzenia.

– Na tym etapie – powiedziała ze złością – możesz pójść do niego i powiedzieć, że nie tylko nie wierzysz w jego winę, ale że może liczyć na twoje pełne poparcie. Czasem trzeba przestać się chować ze strachu przed wszystkimi.

– A co mu to pomoże?

– Wyobraź sobie, że może mu pomóc – odwróciła się ze złością i wróciła do klasy.

Uczniowie rozmawiali stojąc przy oknie, tylko Ryszard siedział nadal w ławce i oglądał komórkę. Piasecka zastanawiała się, czy powiedzieć im o tym nieszczęsnym laptopie. Postanowiła im powiedzieć, bo lepiej, żeby dowiedzieli się od niej niż z miasta. Patrzyli na nią w milczeniu i przerażeniu.

– Ja więcej na lekcję do księdza nie idę, żeby nie wiem co – powiedział Mikołaj.

– Nie wiem, co wam doradzić, naprawdę nie wiem. Tak czy inaczej, zadzwonię dziś do pana Leszczyńskiego i powiem mu, że chcieliście do niego przyjść.

O szóstej popołudniu w sali przy bibliotece miejskiej odbyło się zebranie rodziców. Zebranie otworzył ojciec Mikołaja, inżynier Malik.

– Proszę państwa, zapewne wszyscy wiedzą, że pod adresem naszych uczniów kierowane są oskarżenia o wywieszenia na drzwiach kościoła jakiejś kartki. Jest to nie tylko próba narzucenia zbiorowej odpowiedzialności, ale oskarżenia kieruje się również pod adresem nauczyciela biologii. Oczywiście nie pochwalam tego wybryku, ale o ile wiem, na tej kartce nie było niczego strasznego. Doniesienie do prokuratury złożył ksiądz Wałach. Ksiądz zachowuje się wobec naszych dzieci w sposób skandaliczny. Kilkakrotnie zdarzały się przypadki popchnięcia lub uderzenia ucznia, notorycznie padają wyzwiska pod adresem uczniów. Ksiądz systematycznie kwestionuje wiedzę, której uczniowie uczą się na innych lekcjach. Nawiasem mówiąc, wbrew stanowisku Watykanu. Moim zdaniem powinniśmy wystąpić z protestem do dyrekcji szkoły i do burmistrza.

Halina Dąbrowska podniosła rękę. Justyna Zielińska przerwała robienie notatek. Zastanawiała się jaka będzie reakcja na to wystąpienie.

– Ja nie zamierzam tu mówić o tym, jak się ksiądz Wałach prowadzi, to może nie ma nic do rzeczy. Pamiętajmy, że to kuria narzuca katechetów, więc ani dyrektor szkoły, ani burmistrz nic tu nie mogą zrobić. Możemy napisać protest do kurii z wnioskiem o zmianę katechety w szkole, ale to pewnie nic nie da. Nasze dzieci chodzą do trzecich klas i niebawem pójną do liceum. Ksiądz Marek już zapowiedział, że wszyscy będą mieli obniżone stopnie z religii. Nic dziwnego, że dzieciaki chcą zrezygnować z chodzenia na religię i zażądać albo nauczania etyki, albo przynajmniej skreślenia religii z ich świadectw...

– Przecież jak zrezygnują z religii, to ksiądz nie dopuści ich do bierzmowania – przerwała jedna z matek.

– On już powiedział, że się będzie długo zastanawiał kogo dopuścić, a kogo nie – dorzucił ktoś inny.

Inżynier Malik postukał ołówkiem w stół. Zebrani siedzieli w płaszczach, bo było zimno, a ponieważ zebranie zostało zwołane w trybie nagłym, nie było również kawy, ani ciastek. Justyna Zielińska siedziała koło radnego Boruty, który z ciekawością zaglądał do jej notatek.

– Proszę państwa – powiedział inżynier Malik – miałem bardzo poważną rozmowę z moim

synem. Po pierwsze jestem całkowicie przekonany, że ani mój syn, ani nikt z jego kolegów z kółka biologicznego nie miał nic wspólnego z powieszeniem tej kartki na drzwiach kościoła. Po drugie, mój syn powiedział mi coś, co mnie najpierw zdenerwowało, a potem zastanowiło. Otóż powiedział mi, że nawet gdyby ksiądz Marek dopuścił go do bierzmowania, to on i tak by nie poszedł. Uświadomił mi, że jest to potwierdzenie chrztu przez dorosłego człowieka i że on chce być człowiekiem uczciwym...

– I pan jest członkiem Rady Parafialnej – zapytał kąpiąco radny Boruta.

– Tak, jestem członkiem Rady Parafialnej i szanuję dojrzałość mojego syna. Powiem panu więcej, wstydzę się, że podniosłem na niego głos. Zniosłem go jak był mały do kościoła, a teraz on ma prawo powiedzieć tak, nie, albo jeszcze nie teraz.

– Czy chodzi tu o bierzmowanie, czy o konflikt z księdzem – zapytała matka Karoliny. – Ksiądz wymyśla dzieciom od małych, grozi im, że wszystkim poobniża stopnie z religii. Myślę, że przede wszystkim powinniśmy złożyć skargę do dyrektora.

– O ile ja się orientuję, to uczniowie wielokrotnie prowokowali księdza Marka – powiedział radny Boruta – a jeśli idzie o stopnie, to religia jest takim samym przedmiotem jak każdy inny, więc jak uczniowie się nie starają, to dostają gorsze stopnie, to chyba normalne. Muszę powiedzieć, że nie bardzo rozumiem jak członek Rady Parafialnej może dyskredytować księdza.

– Ksiądz sam się dyskredytuje zarówno swoim zachowaniem wobec naszych dzieci, jak i tym całym szumem wokół jakiejś głupiej kartki na drzwiach. Pani Dąbrowska ma rację, możemy napisać protest do kurii, ale albo nam w ogóle nie odpowiedzą, albo wezmą stronę księdza, albo wreszcie skończy się rok szkolny i dzieciaki zostaną z obniżonymi stopniami na świadectwach. Nasze dzieci chcą zrezygnować z chodzenia na religię i musimy się tu zastanowić, czy je poprzemy w tym, czy nie.

– Tego się naprawdę po panu nie spodziewałem. Zamierzam o tym poinformować księdza i podjąć tę sprawę na najbliższym posiedzeniu rady.

– Rozumiem, że przyszedł tu pan w charakterze wywiadowcy, bo zdaje się, że pana syn ani nie chodzi na kółko biologiczne, ani nie znalazł się w grupie uczniów, którzy chcieliby uczyć się raczej etyki niż religii – odpowiedział inżynier Malik. – Chciałbym się dowiedzieć jakie jest stanowisko państwa w sprawie prośby naszych dzieci, bo podobno bez stosownych oświadczeń rodziców nic nie mogą zrobić. Ja zamierzam takie oświadczenie dla mojego syna napisać. Kto jest za?

Matka Dominiki i Dąbrowska podniosły ręce. Reszta rodziców najwyraźniej miała wątpliwości. Jeden z mężczyzn siedzących na końcu stołu spojrział niepewnie na Justynę Zielińską.

– To może pani redaktor coś powie.

– Nie wiem – odpowiedziała zaskoczona Justyna – myślę, że pan Malik ma rację. Tu są jakby trzy sprawy, awantura o wywieszoną na drzwiach kościoła kartkę, w której ktoś, w imieniu uczniów żądał globalnego ocieplenia w szkole, (a więc jakiś żart, który nagle stał się przedmiotem dochodzenia prokuratury), konflikt uczniów z księdzem oraz wyrażona przez część uczniów chęć rezygnacji z chodzenia na religię.

– Nie wie pani dlaczego prokuratura się tym zajęła, a zniszczone drzwi kościoła to nic – wtrącił Boruta.

– Myślę, że robi się tu z igły widły, czy raczej widły z gwoździa. Pozostaje jednak pytanie o konstytucyjne prawa uczniów. Konstytucja gwarantuje im prawo wyboru...

– Nie im, tylko ich rodzicom, a pani i pan Malik wyłącznie próbujecie ludzi podburzyć – przerwał jej Boruta.

– Konstytucja gwarantuje im prawo wyboru – ciągnęła niezrażona Justyna Zielińska – pan Malik powiedział tu bardzo ciekawą rzecz, że bierzmowanie to potwierdzeniem chrztu przez dorosłego człowieka. Na coś się trzeba zdecydować, albo szanujecie granicę wieku uznaną

przez Kościół jako dorosłość wystarczającą dla samodzielnego potwierdzenia chrztu, albo najpierw zanieśliście swoje dzieci do kościoła na rękach, a teraz chcecie zaciągnąć je tam na smyczy. Mikołaj powiedział, że chce być uczciwy. Pozwólcie swoim dzieciom na uczciwość.

Boruta zerwał się z krzesła – To jest demagogia i skandal. A pani może nie liczyć na pracę w „Naszym głosie”. Nie widzę powodu, żeby tego dłużej słuchać. – Boruta wyszedł, trzaskając drzwiami. Po jego wyjściu inżynier Malik odczekał chwilę, a potem spokojnym głosem zwrócił się ponownie do zebranych.

-Proszę państwa, tak jak powiedziałem, stoimy przed wyborem, czy poprzeć decyzję naszych dzieci. Po rozmowie z moim synem doszedłem do wniosku, że zrobiłbym mu krzywdę gdybym odmówił. Do niczego państwa nie namawiam, informuję tylko o mojej decyzji.

– Ale czy to naszym dzieciom nie zaszkodzi, jak pójdą do liceum bez stopnia z religii – zapytała matka Karoliny – przecież to może być źle widziane.

Niespodziewanie odezwał się ojciec Ryszarda Jasińskiego. Najstarszy z obecnych na sali, mężczyzna około pięćdziesiątki, nikt go właściwie nie znał, bo do pracy dojeżdżał, a w miasteczku się właściwie nie udzielał.

– Ja myślę – powiedział, że my tu nie powinniśmy nawet podejmować takich decyzji, może o proteście do dyrektora, ale w tej sprawie, to każdy powinien tak jak pan Malik, porozmawiać uczciwie ze swoim dzieckiem, a potem spróbować zrozumieć ich decyzję. Ja myślę, że ja dam mojemu synowi takie oświadczenie, a protest do dyrektora i tak trzeba złożyć, bo tak nie wolno uczyć religii.

– Ja się z tym zgadzam – powiedziała Halina Dąbrowska – nad oświadczeniem niech się każdy sam zastanowi, ale protest powinniśmy napisać niezależnie. Musimy teraz zredagować protest i jutro zanieśmy go do dyrektora.

Marta Piasecka siedziała w kuchni u Leszczyńskich i piła herbatę. Agnieszka Leszczyńska była znacznie bardziej opanowana, zapewne czując, że musi być oparciem zarówno dla męża, jak i dla syna. Powtarzała, że trzeba na to wszystko patrzeć jak na film, który ich w ogóle nie dotyczy. Postanowiła, że to ona pojedzie ze Stasiem na policję, a na laptop trzeba spokojnie poczekać aż go zwrócą. Pewnie nawet nie powiedzą przepraszam, ale przynajmniej się odczepią. Krzysztof Leszczyński obawiał się, że kuratorium będzie nalegać na jego zwolnienie, a może się do tego dołączyć burmistrz.

– Mówiłeś, że kiedyś będziemy się z tego śmiać – powiedziała Marta – a może trzeba zacząć już teraz?

– To może być trudne – uśmiechnął się Krzysztof Leszczyński.

– Pięcioletni syn nauczyciela biologii podejrzany o autorstwo tez gimnazjalnego koła badaczy owadzich nogów.

Żona Krzysztofa roześmiała się. Wycierała palcem jakąś niewidoczną plamę na stole.

– Pewnie gdybyśmy byli sami to bym tego nie powiedziała – zaczęła – Czy zastanawiała się pani, dlaczego ktoś te tezy podpisał jako Piotr Płaksin?

– Oczywiście – odpowiedziała Marta, cały czas się nad tym zastanawiam. Pamiętacie jak to się zaczyna...

Na stacji Chandra Unyńska

Gdzieś w mordobijskim powiecie,

Telegrafista Piotr Płaksin

Nie umiał grać na klarncie.

Zdarzenie blahe na pozór,

Niewarte aż poematu,

*Lecz w konsekwencjach się stało
Główną przyczyną dramatu.
Smutne jest życie... Zdradliwe...
Czasem z najbliższej przyczyny
Splata się w cichą tragedię,
W ciężkie cierpienie – bez winy.*

Do ciężkiego cierpienia daleko, jakoś to przeżyjemy.

9

W lokalnym wydaniu „Gazety Wyborczej” ukazał się krótki artykuł Justyny Zielińskiej o poszukiwaniach Lutra w Janowiepawłowie Małym.

„Prokuratura Okręgowa – pisała Zielińska – podejrzewa pięcioletniego syna nauczyciela w gimnazjum o to, że jest 25. wcieleniem Marcina Lutra. Prowadząca prokuratorskie śledztwo Danuta Zając nakazała pobranie odcisków palców Stanisława L., urodzonego 26. 03. 2003r., policja zabrała również laptop, na którym Stanisław L. często oglądał bajki. Prokurator Danuta Zając odmówiła jakichkolwiek komentarzy dla prasy, tłumacząc się dobrem śledztwa. Podejrzenia prokuratury związane są z ‘Tezami Gimnazjalnego Koła Badaczy Owadzych Nogów’. Tezy te zostały wywieszane na drzwiach kościoła przed niespełna dziesięcioma dniami, a autor, czy też autorzy, domagali się w nich globalnego ocieplenia w szkole, ujawnienia prawdy o naszych wspólnych genach z bananem oraz otwartego powiedzenia co kryje się za horyzontem. Tezy zawierały również postulat, aby w szkole dawano więcej wiedzy niż religii.

Wywieszenie tez wywołało gwałtowną reakcję ze strony miejscowego proboszcza, księdza Marka Wałacha, który złożył doniesienie do prokuratury, a ta wszczęła oficjalne śledztwo z paragrafu 196 kk.

Wcześniej śledztwo prowadziła miejscowa policja, ale przekazała prokuraturze raport, w którym stwierdza się, że policja nie widzi możliwości ustalenia sprawcy.

W miasteczku dodatkowe wzburzenie wywołało tajemnicze zaszpachlowanie dziury po gwoździu, którym tezy zostały przybite do drzwi kościoła. Dziura została zaszpachlowana dwa dni temu, w nocy, a sprawca nie pozostawił po sobie żadnych śladów.

Burmistrz miasteczka, podobnie jak prokurator Danuta Zając, odmawia jakichkolwiek komentarzy, ale jak twierdzą osoby wtajemniczone, powód jest inny, gdyż jest on podobno przeciwny śledztwu, jak i nadawaniu sprawie rozgłosu.

Tymczasem grupa uczniów gimnazjum chce zrezygnować z nauczania religii, tłumacząc to szykanami ze strony księdza. Rodzice uczniów postanowili wystosować protest przeciw zachowaniu księdza do dyrektora szkoły.”

Jak łatwo się domyśleć, sprzedaż „Wyborczej” wzrosła tego dnia o ponad 1000 procent i mieszkańcy dzwonili do sąsiednich miejscowości z prośbą o kupienie im gazety. Burmistrz wyraził przypuszczenie, że Zielińska ma jakiegoś kreta w urzędzie, bo skąd ona wie, że chciał ukreślić łeb całej sprawie. Zdaniem księdza Wałacha, artykuł był od początku do końca tendencyjny i kłamliwy. Zielińska, pozornie trzymając się faktów, chciała go ośmieszyć i najwyraźniej broniła sprawcy przestępstwa. Już to, że ten artykuł zamieściła „Gazeta Wyborcza”, był jego zdaniem wiele mówiący. Wielokrotnie powtarzał tego dnia wiernym, że artykuł jest napastliwy i niewart czytania. Wałach był również oburzony na inżyniera Malika, którego wystąpienie na zebraniu rodziców było przedmiotem jego nadzwyczajnego spotkania z radnym Borutą.

W południe Halina Dąbrowska w towarzystwie dwóch innych matek doręczyła

dyrektorowi protest. Spodziewał się tej wizyty. Zastanawiał się, jaka była w tym wszystkim rola Zielińskiej. Dziwił się, że zdążyła o tym napisać mimo, że zebranie rodziców było wczoraj wieczorem.

W przekazanym proteście rodzice pisali o częstych wybuchach złości księdza podczas lekcji, o obrzucaniu uczniów wyzwiskami, o groźbach zbiorowego obniżenia stopni, a nawet o przypadkach używania siły fizycznej.

Dyrektor zwrócił im uwagę, że są to wszystko bardzo ogólne zarzuty, bez wskazania dat i miejsca konkretnych przypadków i bez poparcia zarzutów świadectwem konkretnych osób. Dodał również, że zdaje sobie sprawę z tego, że między księdzem Markiem, a częścią uczniów jest jakiś konflikt i że będzie rozmawiał zarówno z księdzem, jak i z uczniami.

Halina Dąbrowska powiedziała, że można bez trudu zrobić odpowiedni zestaw wypowiedzi księdza Marka podczas lekcji i przedstawić świadków, ale dyrektor nie zamierzał jej do tego zachęcać. Wiedział, że świadkowie szybko tracą pamięć, zaś w przypadkach konfliktów między pedagogami i uczniami konfrontacje są wyjątkowo kłopotliwe. Powiedział, iż domyśla się, że uczniowie mogą mieć pewne podstawy do niezadowolenia i obiecał, że odbędzie z księdzem poważną rozmowę.

Protest podpisało dziewięć osób, ale przez tą Zielińską stał się niejako faktem medialnym. W pewnym sensie był to również argument, którego mógł użyć w rozmowie z Wałachem. Jeśli się tego konfliktu nie wyciszy, prasa będzie do tego wracać. Od tego właśnie zaczął rozmowę, kiedy Wałach pojawił się w jego gabinecie.

– Ten konflikt, proszę księdza, nie służy dobrze ani szkole, ani parafii.

– Nie ma żadnego konfliktu – odpowiedział ksiądz – jest sprawa wandalizmu, zniszczenia kościelnych drzwi oraz sprawa aroganckiego zachowywania się uczniów podczas lekcji religii.

– Uczniowie i ich rodzice przedstawiają to nieco inaczej...

– I pan wierzy raczej im, niż mnie...

– Proszę księdza, rozmawiajmy poważnie – powiedział dyrektor tonem bardziej stanowczym niż zamierzał – zdaje ksiądz sobie sprawę z tego, że kilkakrotnie naruszył ksiądz normy obowiązujące pedagoga w szkole. Nie chciałbym tu robić żadnych konfrontacji, bo to do niczego dobrego nie prowadzi, Zastanówmy się lepiej jak załagodzić całą sprawę. Pewnym ułatwieniem jest fakt, że grupa młodzieży chce zrezygnować z lekcji religii i mają w tym poparcie swoich rodziców. Jeśli ksiądz zachowa się dyplomatycznie, to może oczyścić atmosferę.

– Co to znaczy dyplomatycznie – zapytał oburzony ksiądz.

– No cóż, nie wiem czy ksiądz katolickiej parafii powinien być ojcem chrzestnym Lutra...

– Ksiądz Marek popatrzył na dyrektora niepewnie – Widzi ksiądz, ktoś, kto wymyślił tę całą historię, doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że dziennikarze będą zachwyceni analogią z Marcinem Lutrem. Oczywiście do tego, żeby zainteresowała się tym prasa krajowa potrzeba czegoś więcej. Jakiegoś księdza, który uderzył czy popchnął ucznia, protestu rodziców, może jeszcze konfliktu w samej parafii... lada moment zwali nam się tu cała sfera dziennikarzy.

– Myśli pan, że to Zielińska wszystko wymyśliła, albo nawet sama powiesiła te tezy na drzwiach kościoła?

– Ja nie myślę o tym, kto to zrobił – dyrektor podniósł nieco głos – ale o tym, co nas czeka i jaką sławę ksiądz zyska w związku z tym całym wydarzeniem. Nie wiem, czy biskup będzie zadowolony jeśli nasza parafia stanie się pośmiewiskiem całej Polski?

– To co mam zrobić, przeproszać tych uczniów?

– Tak się składa, że część uczniów chce zrezygnować z religii. Nie wiem jeszcze ilu, zobaczymy ilu przyniesie oświadczenia rodziców. Myślę, że trzeba to przyjąć z pogodą ducha, a nawet z zadowoleniem. Kiedy ci uczniowie przestaną chodzić na religię, protest ich rodziców przestanie być interesujący.

Ksiądz Marek nie był pewien, równocześnie jednak jego postawa utraciła część uduchowionej stanowczości. Nie promieniował moralną wyższością, a nawet wydawał się być nieco przygnębiony.

- Czyli jak pan to sobie wyobraża?
- Myślę, że ksiądz powinien się częściej uśmiechać, i albo nie komentować odejścia tych uczniów, albo powiedzieć, że to ich wybór..
- Ale to będzie zachętą dla innych...
- Myśli ksiądz, że inni tylko czekają na zachętę – dyrektor nie ukrywał pewnego sarkazmu.
- Nie, no tego nie powiedziałem, to jest dobra młodzież, może rzeczywiście pan ma rację.
- Tu nie chodzi o rację, proszę księdza, tu chodzi o to co zrobić, żeby zachować się mądrze.
- To może poinformować prokuraturę, że najbardziej podejrzana jest pani Zielińska, bo z tymi odciskami palców tego małego Leszczyńskiego, to oni chyba rzeczywiście zwariowali.
- Tego już się nie cofnie, musimy robić dobrą minę do złej gry i niech nas Bóg ma w swojej opiece.
- Amen – zakończył Wałach, rozumiejąc, że więcej już nie wymyśla.

Agnieszka Leszczyńska postanowiła wykorzystać niespodziewaną sławę syna i pokazać mu najpierw straż pożarną. Kiedy szła z synem do sklepu, Stasia zafrapował stojący przed remizą wóz strażacki, a myjący go strażak najwyraźniej należał do licznej rzeszy czytelników artykułu Justyny Zielińskiej, bo uklonił jej się z porozumiewawczym uśmiechem, patrząc z sympatią na chłopca. Zatrzymała się i zapytała, czy mogą obejrzeć ten wspaniały pojazd. Mężczyzna zapewnił ją, że Staś może nawet zostać honorowym członkiem straży pożarnej.

Otworzył drzwi szoferki i pomógł chłopcu usiąść za kierownicą, sam usiadł obok i pokazywał chłopcu wszystkie guziczki służące do podnoszenia drabiny i rozwijania węża, objechali nawet dookoła remizę, a potem Agnieszka zrobiła synowi telefonem zdjęcie w strażackim hełmie.

W samej remizie Staś miał tysiące pytań, więc Agnieszka usiadła na stojącym pod ścianą krześle i zadzwoniła do męża. Leszczyński był w zdecydowanie lepszym nastroju, ale nadal uważał, że to raczej on powinien pojechać ze Stasiem na policję. Jego głównym argumentem była jej zaawansowana ciąża, ale Agnieszka twierdziła, że właśnie jej wielki brzuch jest znakomitym powodem, żeby to ona pojechała załatwić tę sprawę. Poinformowała męża, że właśnie zwiedzają straż pożarną, a potem na pewno Staś z przyjemnością obejrzy również policję.

Po drodze do domu Agnieszka chciała syna przygotować przed wyprawą do Komendy Wojewódzkiej, ale syn nadal trawił wizytę w remizie i zastanawiał się nad możliwością przerobienia swojego pokoju na straż pożarną.

Dyrektora zaniepokoiła informacja od nauczyciela historii o tym, że wśród uczniów gimnazjum gwałtownie wzrosło zainteresowanie Reformacją. Podobno padały nawet pytania, czy wśród polskich protestantów również panował zwyczaj wieszania różnych postulatów na drzwiach kościołów. Nauczyciel historii zastanawiał się, czy można pozwolić uczniom z kółka historycznego na zorganizowanie debaty o historii protestantyzmu. Zdaniem dyrektora nie był to dobry pomysł, ale równocześnie nie należało marnować zapału młodzieży, więc taka debata powinna się odbyć, ale raczej o powstaniach narodowych.

Nie wiadomo jak uczniowie dowiedzieli się o artykule Zielińskiej jeszcze przed szkołą

(zapewne ktoś nadał tę informację esemesem), ale już na pierwszej przerwie znalazł się na głównej tablicy ogłoszeniowej, a jego zdjęcie z tablicy groziło zwiększeniem zainteresowania uczniów.

Dyrektor kilkakrotnie sprawdzał, czy artykuł pojawił się w sieci. Nie pojawił się i była to jedyna pocieszająca rzecz w tej całej sprawie.

Tymczasem na korytarzach toczyły się narady; z każdą przerwą przybywało chętnych do rezygnacji z chodzenia na religię i gdyby nie konieczność przyniesienia oświadczenia rodziców rezygnacje mogłyby przyjąć masowy charakter. Większość chętnych uznała jednak, że sprawa jest beznadziejna, gdyż Bóg nie obdarzył ich rodzicami, z którymi dawało się rozmawiać.

10

Ksiądz Marek poinformował dyrektora, że uczniowie gimnazjum zabawiali się w szkole ludzką czaszką. Co więcej, wyśmiewali podobno religię i samego księdza Marka. Jak się okazało podczas lekcji biologii uczniowie byli sami, ponieważ nie udało się zorganizować zastępstwa, a Leszczyński pojechał tego dnia z synem na Komendę Wojewódzką, celem pobrania odcisków palców. Wezwana do gabinetu dyrektora Beata Groszek wyjaśniła, że Ryszard Jasiński miał mieć tego dnia prezentację o Lucy.

– On sobie miesiąc temu zaklepał prezentację o Lucy, bo jego wujek przysłał mu na urodziny czaszkę Lucy – powiedziała Beata.

– Jakiej Lucy – zapytał dyrektor.

– *Australopithecus afarensis* – powiedziała Beata i dodała szybko – ale ta czaszka to tylko model, zrobiony z plastiku.

– Czyli Jasiński przyniósł do szkoły model ludzkiej czaszki – próbował wyjaśnić dyrektor.

– Model czaszki hominida, Ewy....

– Mówiłaś Lucy...

– No bo Lucy jest nazywana Ewą ludzkiego rodzaju...

– No tak, rozumiem, to znaczy, jak to właściwie wyglądało – zapytał dyrektor.

Beata wyjaśniła, że Rysiek przygotował normalną prezentację, przyniósł plakat i CD, ale nie było nauczyciela, ani laptopa, więc chłopcy zaczęli się trochę wygłupiać, bo część wszystko wiedziała o Lucy, a część nie pamiętała, ale wszystkim się ta czaszka okropnie podobała i wszyscy chcieli ją wziąć do ręki.

– A potem – mówiła dalej Beata – Dominika zaczęła udawać, że gra Hamleta, z czaszką Lucy w ręku powiedziała „Być, albo nie być, oto jest pytanie”, Mikołaj rzucił "Idź Ofelio do klasztoru" i zaczęło się zamieszanie, bo zaczęliśmy wymyślać monolog Hamleta z czaszką Lucy jako rekwizytem...

– Czy mówiliście coś o księdzu Marku?

– Nie – zaprzeczyła Beata stanowczo.

– Czy mówiliście coś o religii – dopytywał dyrektor.

– Ja nie wiem, dlaczego Paczkowska nagle powiedziała, że to ją obraża i wyszła z klasy.

– To znaczy, kto co powiedział...

– Nie wiem, wszystkiego nie pamiętam, ale Mikołaj opowiadał Lucy o krętej drodze ludzkiego rozumu, myśmy się wszyscy śmiali, a Paczkowska się obraziła.

– A jak sądzisz, na co mogła się obrazić?

– Na prawdę nie wiem, może to, że Mikołaj powiedział, że niektórzy przez te trzy miliony lat stracili tylko owłosienie i nawet nie zaczęli się modlić o rozum...

– To znaczy mówił o niej?

– Nie, tak w ogóle, ale widać ona wzięła to do siebie.

Dyrektor nabierał dziwnego przekonania, że to nie jest dobra pedagogiczna rozmowa. Fakt, że uczniowie byli sami, pozwalał księdzu opowiadać niestworzone rzeczy. W tej sytuacji było istotne, co Paczkowska powiedziała księdzu i czy miał może jakieś inne źródła. Zwolnił Beatę i poprosił, żeby przyszła do niego Paczkowska.

Kiedy kilka minut później uczennica pojawiła się w jego gabinecie i dyrektor zapytał ją o przebieg wydarzeń podczas lekcji biologii. Uczennica powtórzyła, że lekcja odbywała się bez nauczyciela i że Jasiński przyniósł na lekcję ludzką czaszkę...

– Po pierwsze nie czaszkę, tylko model czaszki – poprawił ją dyrektor – i nie ludzkiej czaszki, tylko hominida.

– ... i oni się tą czaszką bawili – ciągnęła niezrażona uczennica – Malik mówił coś, że godnie jest nie spać na religii, tylko wyjść spod gradu bredni i kres położyć. Oni się z nas naśmiewali. Mówili, że jesteście owłosieni.

– Naprawdę tak mówili? I to powtórzyłaś księdzu – zapytał dyrektor.

– Mówili, że przez trzy miliony lat nie modliliśmy się do rozumu...

– Czy ktoś jeszcze wyszedł z klasy?

– Cała grupa potem wyszła...

– ... i całą grupą poszliście do księdza?

– Nie, tylko ja poszłam, bo oni wyszli później.

Dyrektor zwolnił uczennicę i zamyślił się nad dalszą strategią. Był przekonany, że jeśli Wałach rozpuści informację, że młodzież bawiła się w szkole ludzką czaszką, to uda mu się podburzyć pół miasteczka. Gorzej, bo jeśli się Zielińska o tym dowie, to może jej się ponownie udać umieścić artykuł w „Wyborczej”. Paczkowska też pewnie nagada bzdur swoim rodzicom i to się zaraz rozejdzie po blokach. Wbił w komputer hasło „Lucy” i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w jej odtworzony przez artystę wizerunek. Czy mogła mieć tak rozwinięty biust? Jego rozważania przerwało głośne pukanie do drzwi. Do gabinetu wszedł Ryszard Jasiński.

– Panie dyrektorze, ksiądz Marek zabrał moją czaszkę – powiedział z rozpaczą w głosie.

Dyrektor przez chwilę zastanawiał się, czy nie odesłać ucznia do jego wychowawcy, ale wychowawczynią Jasińskiego była Marta, a to wcale nie ułatwiało sprawy. Przeciwnie, wówczas rozwój wydarzeń mógłby być burzliwy lub zgoła dramatyczny. Nie było innego wyjścia, musiał wziąć sprawy w swoje ręce. Poprosił Jasińskiego, żeby opowiedział jak to było.

– Staliśmy na korytarzu – powiedział uczeń, trzymałem Lucy w ręku, ksiądz przechodził i kazał ją sobie oddać.

– Czy ksiądz Marek coś mówił?

– Powiedział, że ją zbiera.

– A co ty powiedziałeś?

– Że idę na skargę do pana.

Dyrektor powiedział uczniowi, żeby wrócił do klasy. Spojrzał na plan. Poprosił sekretarkę, żeby ksiądz Marek natychmiast po lekcji do niego przyszedł. Na ekranie komputera nadal było hasło „Lucy”. Przeczytał je pospiesznie i powrócił do budżetu szkoły. Na ostatniej radzie pedagogicznej nauczyciele dali mu kolejną listę niezbędnych pomocy edukacyjnych, wzrosła również liczba uczniów uprawnionych do posiłków w szkole. Dzwonek kończący lekcje



oderwał go od kalkulatora. W chwilę później do drzwi zastukał ksiądz Marek. Wszedł gniewny, najwyraźniej nastawiony na konfrontację.

– Proszę, niech ksiądz usiądzie – dyrektor przyjaźnie wskazał krzesło.

– Domyślam się, że Jasiński przyszedł do pana na skargę...

– Obawiam się, że konfiskując uczniowi pomoc edukacyjną mógł ksiądz popełnić błąd – powiedział dyrektor z z troskaniem w głosie.

– Czy to znaczy, że pan dyrektor uważa, że uczniowie powinni się zabawiać ludzką czaszką?

– Modelem, proszę księdza, plastikowym modelem i to nie byle jakim modelem tylko reprodukcją najwspanialszej skamieniałości, najciekawszy okaz czaszki hominida, który żył ponad trzy miliony lat temu. Słyszał ksiądz zapewne Lucy?

– Nie wiem, o czym pan dyrektor mówi, ale jest skandalem, żeby uczniowie bawili się takimi przedmiotami w szkole.

– Tu się jednak różnimy, proszę księdza, tego rodzaju pomoce edukacyjne są marzeniem każdego dyrektora szkoły. Nie bardzo rozumiem, czym się ksiądz kierował konfiskując uczniowi ten model.

– Oni sobie robili jakieś makabryczne żarty...

– To znaczy...

– No wie pan, słyszałem ich śmiech, widziałem ich zadowolone miny, to co się działo na lekcji przekracza ludzkie pojęcie.

– Czy mógłbym dowiedzieć się czegoś więcej – zapytał chłodno dyrektor.

– No wie pan, wyśmiewanie religii, naśmiewanie się z innych uczniów...

– Niestety, jak ksiądz wie, na lekcji nie było nauczyciela. Wszystko co wiemy, to wiemy od uczniów, a ich relacje są wzajemnie sprzeczne. Z tego co ja wiem, uczniowie najpierw oglądali model czaszki hominida, a potem, jak to dzieciaki, uznali go za doskonały rekwizyt do zabawy w improwizowane przedstawienie „Hamleta”...

– Uczennica Paczkowska przedstawiła mi to inaczej...

– Rozmawiałem również z tą uczennicą i wygląda na to, że niewiele zrozumiała. Tak czy inaczej, ten model czaszki hominida musi wrócić do właściciela. Żeby uniknąć niezręcznej sytuacji, proszę go przekazać mnie, a ja go oddam Jasińskiemu. Oczywiście zwrócę mu uwagę, żeby na przyszłość nie wygłupiali się z pomocami edukacyjnymi na korytarzu, ale domyśla się ksiądz, że w obecnej sytuacji to jest bardzo niewygodny incydent.

Twarz księdza nabrzmiała gniewem – a ja mam wrażenie, że jestem w tej szkole szykanowany. Oczywiście mogę panu przekazać tę czaszkę, chociaż moim zdaniem uczeń powinien ją otrzymać dopiero po zakończeniu roku szkolnego. Nie powinniśmy tolerować tego rodzaju zachowania.

– Obawiam się, że ksiądz tu czegoś nie rozumie. Siedzimy w jednej łódce, tyle, że ksiądz próbuje tę łódkę rozhuścić, a ja staram się robić co w mojej mocy, żebyśmy nie wpadli do wody. Tak czy inaczej, proszę przynieść ten model czaszki Lucy do mnie i spróbujemy o tym zapomnieć. Mam nadzieję, że się prasa o tym nie dowie, bo to dla nich kolejny smaczny kąsek.

Walach oddał dyrektorowi model czaszki hominida, wyrażając ponownie sprzeciw wobec nadmiernej tolerancji dyrekcji wobec wybryków uczniów. Dyrektor delikatnie położył Lucy na swoim biurku, zastanawiając się nad dyplomatycznym sposobem zwrócenia jej właścicielowi. Klasa 3a skończyła już lekcje, co oznaczało, że cała sprawa przenosiła się na dzień następny. Wziął do ręki model czaszki i przyglądał mu się z zaciekawieniem. Pomyślał, że Marta będzie zachwycona, kiedy się dowie, że uczniowie improwizowali przedstawienie Hamleta. Pewnie jeszcze robili zdjęcia i może jej przyjść do głowy żeby je powiesić w klasie. Usłyszał delikatne pukanie do drzwi. Na jego „proszę” w drzwiach pojawiła się głowa Jasińskiego. Chłopiec ucieszył się, kiedy zobaczył model czaszki Lucy w ręku dyrektora.

– Widzę, że dostałeś wspaniały prezent na urodziny – powiedział dyrektor, patrząc jak twarz ucznia rozjaśniła się uśmiechem.

– Mój wujek wie, że interesuję się ewolucją i zrobił mi niespodziankę. Przez pierwsze dni nie umiałem się z nią rozstać. Nikomu w szkole nie mówiłem, że ją mam, bo chciałem zaskoczyć pana Leszczyńskiego i jak wreszcie przyszła pora na moją prezentację to go nie było.

– To rzeczywiście szkoda, ale pewnie będziesz mógł ją pokazać w przyszłym tygodniu.

– ...ale ksiądz Marek – zaczął Jasiński.

– Spróbuj zrozumieć księdza Marka, prawdopodobnie dostał niezupełnie ścisłą informację i zrozumiał, że bawiliście się w klasie prawdziwą ludzką czaszką. Był wzburzony, zapewne nawet nie przyjrzał się tej czaszce. My, dorośli też czasem popełniamy błędy...

– Ale – zaczął Jasiński.

– Powiedz mi lepiej – przerwał mu dyrektor – co się właściwie działo na tej lekcji. Robiliście może zdjęcia?

– Dominika zrobiła jakieś zdjęcia swoim telefonem.

– A nagrywała dźwięk?

– Nie, chyba nie – Jasiński spojrzał podejrzliwie na dyrektora.

– Tak pytam – uspokoił go dyrektor – bo mogą się pojawić jakieś sprzeczne opowieści o tej lekcji bez pana Leszczyńskiego. Czy mówiliście coś na temat księdza Marka?

Jasiński ponownie zaprzeczył, a dyrektor był pewien, że nic nie powstrzyma ludzi przed plotkami. Wręczył uczniowi model czaszki hominida i zapytał czy wybiera się na studia biologiczne. Jasiński odpowiedział, że jeszcze nie wie i ostrożnie włożył czaszkę do plecaka. Podziękował i wyszedł, zostawiając dyrektora z czarnymi myślami.

Marta Piasecka ponownie siedziała w kuchni u Leszczyńskich i słuchała sprawozdania Agnieszki z wyprawy do Komendy Wojewódzkiej Policji. Agnieszka robiła herbatę i opowiadała ze śmiechem, że jej strategia okazała się ze wszelkich miar słuszną.

– Krzysztof pojechał tylko jako eskorta i zgodził się poczekać na nich w kawiarni. Staś domyślał się oczywiście, że coś jest nie tak, a ja miałam problem jak mu to wszystko wytłumaczyć. Powiedziałam mu, że policja robi badania i potrzebuje odcisków palców małego chłopca i że zgłosiłam się, żeby mu pokazać jak pracują policjanci. Chyba niezupełnie mi uwierzył, ale jakoś to zaakceptował. Heca zaczęła się już w portierni, bo pokazałam wezwanie i oficer kompletnie zgłupiał. Też bym zgłupiała, przychodzi baba z wielkim brzuchem i pięcioletnim chłopcem w charakterze podejrzanego. Powiedziałam mu, że jesteśmy umówione z panią psycholog, więc zadzwonił gdzieś i po chwili zeszła sympatyczna babka w moim wieku, przedstawiłam jej Stasia i obie wybuchłyśmy śmiechem.

Agnieszka postawiła na stole herbatę oraz talerz z ciastkami i kontynuowała opowieść.

– Wie pani, to było jak w jakimś innym świecie. Ona po prostu powiedziała swoje imię, Marta jestem, takie samo imię jak pani. Nie powiedziała nazwiska, ani funkcji i ten jej porozumiewawczy śmiech wyjaśniał wszystko. Nie wiedziałam, czy mam jej mówić po imieniu, czy jak, ale automatycznie odpowiedziałam, Agnieszka. Dobra, powiedziała, to idziemy do mnie, najpierw opowiem Stasiowi o, hm, daktyloskopii, a potem przyjdzie technik. Uczciwie mówiąc bałam się tej wizyty, oczywiście, że się bałam, ale jak tylko ona przyszła, od razu byłam pewna, że wszystko będzie O.K. Ta dziewczyna była znakomita. Zanim poszliśmy, wyciągnęła z kieszeni szkło powiększające i przykucnęła przed Stasiem i powiedziała, że pokaże mu dlaczego odciski palców są takie ciekawe. Nie wiem, jak ona to zrobiła, ale Staś z miejsca się z nią zaprzyjaźnił i przestał się mną interesować. Jej gabinet był na pierwszym piętrze i kiedy tam doszliśmy ona odwróciła się i zapytała: „Agnieszka, idziesz

z nami, czy zaczekasz w poczekalni?”, jakby mnie sto lat znała. Spojrzałam na Stasia i pomyślałam, że równie dobrze mogę go puścić samego, że tak może jest lepiej. No więc, zostałam w tej poczekalni. Staś wyszedł pół godziny później z upapranymi łapani i stertą powiększeń swoich odcisków palców. Oczywiście nauczył się słowa daktyloskopia, przez całą drogę do kawiarni mówił o liniach papilarnych i o tym jak się je porównuje. Ta Marta odprowadziła nas do portierni, dała mi wizytówkę i powiedziała: „proszę dzwonić, gdyby były jakieś problemy”. Ona nawet nic nie powiedziała, ale jej mowa ciała mówiła wszystko. Czasem mam wrażenie, że świetnych ludzi spotyka się w bardzo dziwnych miejscach.

Marta Piasecka dyskretnie obserwowała Krzysztofa, który patrzył na swoją żonę jak na czarodziejską wróżkę. Dopił herbatę i powiedział, że trzeba Stasia wyciągnąć z wanny.

– Jak pani myśli – zapytała Agnieszka, kiedy Krzysztof wyszedł do łazienki – czym się to wszystko skończy?

– Nie jestem wróżką – uśmiechnęła się Marta – myślę, że zobaczą, że Staś nie jest Lutrem, oddadzą wam laptop i zamkną całą sprawę.

– Ale to się nie uspokoi, kuratorium dalej będzie się czepiać Krzysia.

– Uspokoi się, zobaczysz, znajdą sobie inne problemy, byle ksiądz Marek nie rozrabiał...

– O co jemu właściwie chodzi?

– Nie znam się na pasterzach, pewnie się boi wilków. Strach przed wilkami może prowadzić do wścieklizny.

Agnieszka roześmiała się – Dobrze, że pani przyszła – powiedziała – dla Krzysia to strasznie ważne, dla mnie też. Mam wrażenie, że część nauczycieli w szkole zaczęła go unikać.

– Historia zmienia się szybciej niż ludzka psychika. Może teraz jest mniej ludzkiej podłości, a może nawet trochę więcej, tylko teraz trudniej człowieka skrzywdzić. To znaczy trudniej wysłać sąsiada za kratki, bo krzywdzić nadal potrafią zupełnie dobrze. Jedno ci powiem, Krzysztof jest jednym z lepszych nauczycieli jakich w życiu spotkałam i robi więcej dla swoich uczniów niż o tym wie.

– Czasem mam żal, że mnie tu ściągnął, a czasem myślę, że on by nie umiał żyć bez szkoły.

– Muszę iść, zeszyty czekają – odpowiedziała Marta.

Dyrektor wypił trzeci kieliszek koniaku i spojrzał niespokojnym wzrokiem na żonę, która nadal sączyła ten sam kieliszek orzechówki. Ania zgadzała się z nim, że sprawy nie przedstawiały się dobrze. O młodzieży pozostawionej bez opieki w klasie opowiadać można cokolwiek, i nikt nie dojdzie jak było naprawdę. Dyrektor był przekonany, że ta inscenizacja Hamleta może przyjąć zupełnie niespodziewany charakter. Obawiał się księdza, obawiał się co wymyśli Zielińska. Wyraził nadzieję, że może cała ta sprawa nie dotrze do Zielińskiej.

– Naiwny jesteś – powiedziała Ania – jeśli Dominika robiła zdjęcia, to Zielińska ma je już w garści.

– Dlaczego tak sądzisz – zapytał dyrektor.

– No co ty, nie wiesz, przecież Justyna i Dominika są kuzynkami, matka Justyny jest siostrą ojca Dominiki. O tym co się dzieje w szkole Zielińska dowiaduje się szybciej niż ty.

– Jezus, Maria – powiedział dyrektor, dolewając sobie koniaku.

Janowi Pawłowi. Dwanaścioro uczniów gimnazjum przyniosło oświadczenia rodziców pozwalające im na rezygnację z chodzenia na religię. Sześcioro z klasy 3a, pięcioro z pozostałych klas trzecich i jedna uczennica klasy pierwszej. Dyrektor nie zgadzał się z opinią księdza Marka, że była to deklaracja niechęci wobec Jana Pawła II. Ksiądz Marek nie miał jednak wątpliwości, że zarówno wcześniejsze wydarzenia jak i obecna akcja była zorganizowana i sterowana przez siły zewnętrzne, zmierzające do podkopania wartości chrześcijańskich w kraju.

Młodzież złożyła oświadczenia rodziców w sekretariacie dołączając jednobrzmiącą prośbę skierowaną do dyrektora:

„Uprzejmie proszę o skreślenie mnie z listy uczestników zajęć z religii. Nie chcę mieć również stopnia z religii na świadectwie. W załączeniu oświadczenie moich rodziców.”

Ksiądz Marek chciał wiedzieć, czy oświadczenia podpisane były przez oboje rodziców, czy tylko przez jedno z rodziców i czy to jest wystarczające, gdyż konstytucja gwarantuje rodzicom prawo do wychowywania dzieci w swojej wierze, a jeśli jedno z rodziców chce wychowywać swoje dziecko w wierze katolickiej, to jego wola powinna być decydująca.

Dyrektor nie był przekonany, że taka interpretacja konstytucji jest właściwa, i nie umiał wykluczyć, że sama młodzież może tu mieć coś do powiedzenia. Pamiętał rozmowę z Martą na temat wieku przyzwolenia. Jeśli piętnastoletni człowiek ma prawo wyrazić zgodę na współżycie seksualne, to może wolno mu również odmówić uczestnictwa w lekcjach religii? Zaniepokojony tym pytaniem wbił w komputer hasło „wiek przyzwolenia” i ze zdumieniem odkrył, że w Watykanie karalne jest współżycie seksualne z dziećmi poniżej dwunastego roku życia. W katolickich krajach podobne przepisy obowiązują tylko w Meksyku i na Filipinach. Dyrektor doszedł jednak do wniosku, że nie są to sprawy, które powinny teraz rozpraszać jego umysł. Zastanawiał się skąd przyjdzie kolejny atak. Wałacha najwyraźniej biskup nie wystraszył, a może nawet dostał poparcie z kurii. Zielińska może coś napisać, nie wiadomo co wymyśli w kuratorium, burmistrz pewnie będzie cicho, ale radni mogą zająć stanowisko. Kiedy pada argument Jana Pawła nikt nie może być obojętny. Był coraz bardziej przekonany, że znalezienie sprawcy powieszenia tych tez na drzwiach kościoła niczego już nie zmieni, ale, ożywił się niespodziewanie, zamówienie mszy gregoriańskiej w intencji znalezienia sprawcy, mogłoby radykalnie wyciszyć Wałacha. Ucieszył się tym pomysłem i natychmiast doszedł do wniosku, że sprawa jest pilna, bo jeśli rada miasta zgłosi się z tym pierwsza, to mogłoby się wręcz obrócić przeciw szkole. Mógł się Sejm modlić o deszcz, dlaczego by szkoła nie miała zamówić mszy w intencji znalezienia sprawcy.

Dyrektor sięgnął po kalkulator. Taka msza gregoriańska będzie pewnie kosztować z tysiąc złotych, więc najwyżej chemik poczeka z urządzeniem pracowni chemicznej. Odzyskanie spokoju w szkole musi być priorytetem. Gorzej z Martą, bo jak jej o tym powiedzieć?

Dyrektor sięgnął po pocztę. Rachunek za elektryczność był wyższy od poprzedniego o ponad sto złotych. Kuratorium oczekiwało sprawozdania z akcji „Więcej dyscypliny i patriotyzmu”, zachęcało również do wysłania uczniów na film „Popiełuszko” oraz przesyłało informacje ministerstwa o negocjacjach w sprawie wynagrodzenia nauczycieli. W kolejnej kopercie była reklama srebrnych i złotych medali pamiątkowych z Janem Pawłem II, specjalny rabat dla szkół imienia Jana Pawła II, dwa medale tylko 199 złotych. Kto wie, pomyślał dyrektor, może to lepsze niż msze gregoriańskie, na pewno tańsze. Wałach zaczął w gimnazjum pracować dziewięć lat temu, we wrześniu, więc to żadna okazja, imieniny miał dopiero w marcu, urodziny w lecie, a zresztą, jak taki prezent zaksięgować, może jednak lepiej msza gregoriańska. Jego rozważania przerwało wejście Marty. Była wzburzona i od progu powiedziała, że zamierza publicznie dyskredytować przed uczniami księdza Marka. Domyślił się, że pojawiły się nowe fakty. Spojrzał na nią pytająco.

– Uczniowie powiedzieli mi, że postanowił osobiście przyczynić się do beatyfikacji naszego papieża i wymyślił sobie cud w naszym mieście – powiedziała.

- Może ktoś się modlił o cud – odpowiedział łagodząco.
- Matka jednego z uczniów z podstawówki miała guza mózgu. Guza wycieli, miała radioterapię, chemię i wyobraź sobie, wyzdrowiała po jednej modlitwie do naszego papieża...
- Nie denerwuj się, przecież on z pewnością uczciwie w to wierzy.
- A ty zapewne wierzysz, że jesteśmy placówką oświatową, że mamy wychowywać młodzież na myślących ludzi.
- Czy możesz mi opowiedzieć nieco więcej. Co cię aż tak wyprowadziło z równowagi? Co właściwie złego w tym, że ksiądz Marek sądzi, że komuś pomogła modlitwa?
- Marta Piasecka usiadła na krześle i przyglądała się swojemu bratu jakby był człowiekiem z innej planety. Domyślała się, że ksiądz Marek mógł wierzyć w bzdury i wiedziała, że jej brat chciał tylko świętego spokoju w szkole. Konkordat gwarantował prawo głoszenia katechetom bzdur i zadaniem dyrektora było zapewnienie, aby nikt w tym nie przeszkadzał.
- Nie wiem – powiedziała – ile on opowiada kłamstw własnych, ile przeinaczeń, które usłyszał i wziął za dobra monetę. Opowiada, że lekarze stracili nadzieję, wątpię, żeby jej coś takiego powiedział prowadzący onkolog, twierdzi, że poprosiła Jana Pawła o wstawiennictwo i od razu poczuła się lepiej. Część uczniów przyjęła to z kpiną i z tymi możemy się razem pośmiać, ale przecież nie chodzi tylko o tych, których w domu nauczono myśleć. Dla pozostałych to jest podważanie zaufania do medycyny, to niszczenie ich zdolności logicznego myślenia, to oczywiste demoralizowanie.
- Chyba dramatyzujesz – powiedział dyrektor, zdając sobie sprawę, że popełnia błąd i prowokuje siostrę do jeszcze większego gniewu. – Ludzie zawsze wierzyli w cuda i będą wierzyli w cuda, niezależnie od naszego Marka. Jest księdzem, to musi takie rzeczy mówić. Przecież nie możemy od niego oczekiwać, żeby mówił uczniom o rozwoju medycyny. Nie rozumiem, co ci to właściwie przeszkadza? Dlaczego ludzie nie mają mieć poczucia, że ktoś nad nimi czuwa, że nasz papież się za nimi wstawił, że modlitwa im pomogła? Może tej kobiecie naprawdę modlitwa pomogła?
- Może – odpowiedziała Marta – może jej pomogła i to właśnie zamierzam mówić uczniom, może jej pomogła odczuwać mniejszą wdzięczność wobec tych, którzy ją uzdrowili, może jej pomogła złagodzić strach, może mogła jej pomóc, bo ją nauka utrzymała przy życiu.
- Przecież tego nie wiesz – przerwał jej dyrektor.
- Czego nie wiem?
- Może jej wiara naprawdę pomogła?
- Ja też wierzę, wierzę że warto mówić prawdę i nie zamierzam przed tymi dziećmi ukrywać, że ich katecheta bredzi jak Piekarski na mękach. Nie wiem nawet, czy kolejnej lekcji wychowawczej nie poświęcę wierze w cuda.
- Marta, opamiętaj się na Boga, przecież można zrobić wiele dobrego bez wchodzenia na ścieżkę wojenną. Niczego nie wygrasz, a tylko utrudnisz życie sobie i innym. Szkoda, że nie skończyłaś tej medycyny – dodał ze złością
- A co, wolałbyś, żeby mnie tu nie było? Zdaje się, że już zapomniałeś dlaczego wyrzucili mnie z medycyny i dlaczego byłam internowana? Wtedy zdawało mi się, że za szczypanie komunistów, ale teraz wiem, że to było za walkę o to, żeby kolejne pokolenie oportunistów mogło się dorwać do swoich stołków.
- Chyba przesadzasz.
- Przesadzam? To ci powiem, w naszej szkole dyrektor bał się durnia z legitymacją partyjną, a ty boisz się idioty w koloratce – duża różnica?
- Ale w młodości biegałaś na papieskie pielgrzymki...
- Dużo rzeczy robiłam w młodości, których już dziś nie robię, został mi nawyk uczciwego odpowiadania na pytania, więc jeśli dzieciaki będą pytać co myślę o tym cudzie, uczciwie odpowiem co myślę o cudakach. Ty możesz to tolerować, ja nie muszę.
- Marta, na litość boska, przecież ja jestem dyrektorem szkoły.

Artykuł Zielińskiej o Hamlecie z Lucy nie ukazał się ani w „Wyborczej”, ani nawet w „Naszym Głosie”. Obydwie redakcje uznały, że jest mało ciekawy i Justyna zaczęła wątpić, czy kiedykolwiek się przebije. Nie była pewna, czy źle to napisała, czy takie rzeczy nikogo nie ruszają. Zastanawiała się dlaczego dla niej ten Hamlet z czaszką Lucy w ręku był takim symbolem i wyzwaniem. Powiększone zdjęcie Mikołaja powiesiła sobie nad biurkiem, żałowała, że Dominika nie nagrała dźwięku. Niepełna relacja zostawiała jednak pole dla wyobraźni. Jako news nie była to może zbyt wielka sprawa, ale dlaczego nikogo nie skusiła sama opowieść? Jaką inspiracją mógłby być Hamlet z Lucy dla pisarza? Oczywiście najciekawszy byłby monolog Hamleta z Lucy w wykonaniu ucznia, ale, uśmiechnęła się do własnych myśli, łatwo wyobrazić sobie taki monolog w wykonaniu burmistrza, albo dyrektora... tylko Wałach nie miał w sobie nic z Hamleta.

Chciała napisać o wzrastającym bezrobociu w gminie, ale okazało się, że nie jest źle, a o tym, że jest dobrze nikt nie chce czytać. Postanowiła zajrzeć do Kasi-bibliotekarki, chociaż zdawała sobie sprawę z tego, że czasy, w których wieść gminna najszybciej docierała do biblioteki minęły dziesiątki lat temu.

Kasia poinformowała ją, że Maciek, nazywany filozofem uzależnionym, napisał artykuł i że ten artykuł ukazał się w Internecie. Sposób w jaki o tym mówiła, zdradzał jej głębsze zainteresowanie osobą autora niż tematem jego artykułu. Justyna przez grzeczność zajrzała do Onetu, gdzie Maciek opublikował swój tekst o nieuczciwej reklamie. Autor pisał o ustawie z sierpnia 2007 roku, która jak dotąd okazała się martwa, chociaż mogłaby być dobrym narzędziem zwalczania niezliczonych oszustw marketingowych. Z narastającym znużeniem przedzierała się przez prawnicze definicje nieuczciwych praktyk rynkowych, póki nie dotarła do historii nieuczciwej reklamy, którą autor zaczynał od pytania o istnienie reklamy i nieuczciwych praktyk reklamowych w naturze. Jak twierdził, reklama jest silnie obecna tam, gdzie działa dobór płciowy i ostra konkurencja o najlepszych partnerów. Popisy krzepy i morderczych umiejętności, krzykliwe barwne pióra, piękny głos i skomplikowane trele-morele, sprawności przy budowie domu, czy zadatki na dobrego rodzica, wszystko to mogło być robione na pokaz, byle tylko pozyskać przychyłność partnerki czy partnera. Mamy tu przykłady reklamowej rzetelności, jak w przypadku osławionego pawiego ogona, ale i w naturze nie brak naciągaczy.

Prześliznąwszy się po dość ciekawym fragmencie o obecności reklamy w naturze, Maciek wyrażał ubolewanie, że żyjemy w czasach wszechobecnej nieuczciwości marketingowej, której, mimo istnienia zupełnie dobrych narzędzi prawnych, praktycznie rzecz biorąc nikt nie ściga. Jak wielu innych filozofów wracał do Adama i Ewy, czyli przechodził dalej do nierzetelności reklamy w historii ludzkości, której wzorem doskonałym była jego zdaniem religia i działalność kapłanów. Od zarania ludzkości – pisał – handlowali nieistniejącym towarem. Obiecywali życie wieczne i zbawienie, dodając gratis męki piekielne. Odwołując się do niewiedzy i przesądów konsumenta oferowali towar, którego jakość jest więcej niż wątpliwa. Trudno również wątpić w to, że posługiwali się podrobionymi znakami firmowymi. W handlu fałszywymi towarami sprzedawanymi pod fałszywą marką osiągnęli tak wielką doskonałość, iż trudno się dziwić, że znaleźli niezliczone rzesze naśladowców. Twierdzenie – pisał – że żyjemy w czasach niespotykanego zalewu nierzetelnej reklamy, może się przy bliższym oglądzie okazać nieprawdziwe. Pewien spadek zaufania do handlarzy życiem wiecznym i zbawieniem może oznaczać pewną redukcję wpływu nieuczciwej reklamy na życie społeczne. W świecie było zaledwie kilka prób zastosowania ustaw o marketingowej nierzetelności do handlowych praktyk instytucji religijnych. Mimo dość oczywistych dowodów owej nierzetelności, wszystkie te próby spotykały się z niechętnym stosunkiem sądów. Przy tak wielkiej tolerancji dla nierzetelności reklamy na jednym polu – konkludował

autor – trudno oczekiwać poważnego stosunku do nad wyraz częstych przypadków nierzetelnej reklamy na innych polach.

– Widzę, że mam już drugą czytelniczkę – Justyna usłyszała za sobą głos Maćka.

– Fajny tekst, trochę ciężki początek...

– Nasz Luter mnie natchnął, kto wie, może to dobry sposób na wyjście z mojego średniowiecza. Trochę pisanie, trochę ludzkiego ciepła – spojrzał na Kasię, która odpowiedziała mu szerokim uśmiechem – i może uda się wyjść na prostą.

– Masz jakieś plany?

– Żadnych planów, najpierw więcej dyscypliny i mniej patriotycznego przywiązania do narodowego produktu. Przed południem cztery godziny pracy w bibliotece. Cicho, pusto, dostęp do komputera. Potem kilka godzin lektur. Przez miesiąc, dwa, muszę się rozejrzeć we wszechświecie, a potem zobaczymy. Różne rzeczy chodzą mi po głowie, ale najpierw muszę się nauczyć chodzić po ziemi. Chwilowo biorę na warsztat pierwszą tezę naszego Lutra: I beg to differ. I do it all the time!

12

Jak zapisał w swojej notatce służbowej komendant Marciniak, ksiądz Marek Wałach zgłosił kolejne podejrzenie popełnienia przestępstwa. Uczennica Paczkowska przekazała mu informację, że uczeń Ryszard Jasiński ma w domu relikwie. Ksiądz Wałach wyraził podejrzenie, że uczniowie mogli okraść jakiś kościół. Poinformował również, że w jego kościele relikwiarz, w którym od dwustu lat przechowywana jest kropla potu uroniona przez świętego Andrzeja Bobolę przed jego męczeńską śmiercią, był nienaruszony. Jak dodał ksiądz, relikwia ta jest szczególnie cenna, gdyż cudownie ocalała z innego kościoła, który spłonął w 1809 roku.

Po udaniu się do domu Ryszarda Jasińskiego, komendant rozmawiał z matką podejrzanego, która nic na ten temat nie wiedziała, a następnie z samym uczniem, który wyjaśnił, że nazywa „relikwiami” swój zbiór szkieletów zwierzęcych. Ryszard Jasiński pasjonuje się biologią i samodzielnie przygotowuje kości zwierzęce, których ma znaczną ilość.

Przekazawszy to wyjaśnienie księdzu Markowi Wałachowi, komendant uznał sprawę za zamkniętą mimo, iż ksiądz domagał się dalszego dochodzenia, czy makabryczne zainteresowania ucznia nie są przypadkiem związane z okrucieństwem wobec zwierząt.

Marta Piasecka dowiedziała się o całej sprawie od Patrycji, która wpadła do niej do domu po materiały na olimpiadę polonistyczną oraz pochwalić się swoim „Listem do drzewa na podwórku”, który zamierzała wysłać na konkurs zorganizowany przez „Nasz głos”.



– Mama Ryśka okropnie się śmiała – mówiła Patrycja – bo Rysiek ma pełną szafę tych relikwii, chociaż i tak większość musi trzymać w piwnicy, bo nieładnie pachną. Komendant też się śmiał jak wychodził, ale nie tylko się śmiał, bardzo mu się podobały całe szkielety stojące na podstawkach. Rysiek mi obiecał, że mi da szkielet myszy w butelce na 15.

urodziny, ale pewnie mu się nie uda, bo to chyba strasznie trudne.

Marta powstrzymała potok wymowy dziewczynki i zapytała, czy chce herbaty albo soku. Patrycja odpowiedziała bez namysłu, że chce soku i idąc za Martą do kuchni ciągnęła dalej.

– Rysiek od dwóch lat preparuje kości, wszystkiego już próbował, kreta, różnych proszków do prania, Dosi, perhydrolu; mówi, że najlepsze są mrówki, ale w zimie nie ma mrówek. W ogóle w zimie jest gorzej, bo takie kości powinny potem poleżeć ze dwa tygodnie na słońcu, wtedy nie śmierdzą. Rysiek próbuje je suszyć pod kwarcówką, ale to nie to samo.

Wie pani, oni się pokłócili z Dominiką przez kunę; oni i tak by się pokłócili, bo Dominika lubi bezkręgowce; ona sama jest bezkręgowcem; więc jak przyszła i zobaczyła, że Rysiek gotuje obdartą ze skóry kunę, to uciekła z wrzaskiem i przestała się do niego odzywać. Mówiłam jej, że kuna nie pajak, więc nie ma co tak rozpaczać, a poza tym, kunę zagryzł pies, więc Rysiek nie ponosił odpowiedzialności za jej tragiczną śmierć. Ona go zupełnie nie rozumiała. Wie pani, niedawno pomagałam Ryškowi preparować kreta. Nie takiego kreta ze sklepu, tylko prawdziwego. Jak było tak ciepło, to głupi kret wylazł z ziemi i Ryška pies go też zabił. Gotowaliśmy tego kreta przez dwie godziny na wolnym ogniu, a potem trzeba było ogromnie ostrożnie usunąć części miękkie, żeby nie naruszyć szkieletu. U takich małych zwierzątek najtrudniej jest z mózgiem. Trochę wyciągaliśmy strzykawką, a trochę wyplukiwaliśmy vanishem, fajne paprajstwo. Będzie wypasiony szkielecik.

– A matka go nie goni?

– Wcale, to jest słodka osoba. Nawet gotować można przy niej różne zwłoki, tylko nie jak robi obiad. Najpierw mówiła, że Ryška szkieleciki są jakby wszystkie miały reumatyzm. To jest sztuka, żeby te wszystkie kosteczki trzymały się kupy. Próbował je kleić super glue, ale to zawsze coś krzywo wyjdzie. Ja mam takie miniaturowe dentystyczne świderki i na druciki to lepiej się udaje.

Marta zdjęła z półki zestaw lektur i podręcznik do gramatyki, obserwując niekłamaną odrazę malującą się na twarzy Patrycji. Dziewczynka automatycznie rozdzieliła książki na dwie kupki.

– Z lekturami jest jak z ewolucją, przystosowują człowieka do środowiska, którego już nie ma – powiedziała patrząc z niechęcią na książkę Orzeszkowej – Kto to wybiera? Dlaczego tu nie ma Harrego Pottera, albo Shreka? Czytałam o takich badaniach, że neurony umierają z nudów. Ja myślę, że Syzyf powinien zrobić Rejtana i zginąć pod tym kamieniem, Antygona powinna go po cichu pochować i byłby święty spokój. A tę „Zieloną gęś” trzeba napisać od początku, bo tam nie wszystko daje się zrozumieć, ale pomysł jest dobry.

– Nie zamierzasz tego tak pisać na olimpiadzie?

– Pewnie, że nie, ja jestem grzeczna dziewczynka, nie wie pani; Rysiek kupił sobie „Boga urojonego”, oglądałam kilka stron, fajnie się czyta, przygotuję kilka cytatów.

Marta roześmiała się i pogroziła jej palcem, wiedziała, że to dziecko nie jest już dzieckiem i że jest po bezpiecznej stronie na drodze do ciekawego życia. Sięgnęła po podręcznik gramatyki.

Kiedy Marta wieczorem opowiadała u Leszczyńskich o rewelacjach Partycji, okazało się, że Krzysztof znał relikwie Jasińskiego, a nawet sam mu doradzał perhydrol jako najlepszy środek przy preparowaniu kości.

– Jak człowiek sam składa do kupy kości to mózg inaczej pracuje. W Polsce by się to nie przyjęło, ale widziałem w Anglii takie zabawki dla małych dzieci, działa jak lego. Składamy szkielet dinozaura i świat staje się bardziej zrozumiały. A Patrycja rzeczywiście jest piekielnie inteligentna, tyle, że jest osamotniona w klasie, może te dzieciaki później trochę dojrzeją, ale obawiam się, że to do końca będzie słaba klasa.

– Krzysztof dzwonił dziś do prokuratury – przerwała Agnieszka – chciał się dowiedzieć jak długo jeszcze będą trzymali jego laptop. Powiedzieli, że już może go sobie odebrać. Kiedy odpowiedział, że on go nie zawoził, że pracuje i musiałby się zwalniać na cały dzień z pracy, to panią odpowiedziała, że nic na to nie może poradzić, bo prokuratura nie jest firmą kurierską. Czy my kiedyś będziemy mieli jakieś bardziej normalne państwo?

– Już mamy bardziej normalne państwo, tylko trochę za mało bardziej i za mało normalne – odpowiedziała Marta.

– Agnieszka ma rację – powiedział Krzysztof – trzeba to traktować jak film, jak coś, co nas nie dotyczy. Tyle, że w takich momentach to się nie daje. Przecież taki babsztyl naprawdę myśli, że jej wszystko wolno. Jak długo przy każdym kontakcie z urzędnikiem mamy udawać, że nas nie dotyczy ich głupota, niekompetencja i chamstwo? To podobno jest nasze państwo, my płacimy na tych imbecyli podatki.

– Pewnie Lutra zabrakło – powiedziała Marta, powodując gwałtowne zakrztuszenie się Agnieszki ciastkiem.

– Jak pani myśli... – zaczął Krzysztof.

– Przestańcie do mnie mówić per „pani” – zirytowała się Marta – czuję się jakbym była matroną.

– Ale przecież... – zachnęła się Agnieszka.

– Ale przecież cała nasza kultura to puste formy, to chciałaś powiedzieć?

– Pewnie to, tylko trochę inaczej, tak nas wytresowali i nie umiemy wyjść z tej sztuczności.

– Ciekaw jestem jak się ten nasz Luter czuje – zamyślił się Krzysztof.

Marta uśmiechnęła się – Podejrzewam, że się domyślam – powiedziała – pewnie chciałby tu z nami być i wiedzieć, że bardziej jesteśmy źli na świat niż na niego. Jeżeli to on, a nie ona.

Maciek i Kasia nie przestawali chichotać w łóżku.

– Trzeba znaleźć dobrego drugiego świadka – powiedział Maciek – w końcu rodzice odchrzestni zostają z nami na resztę życia. Apostazja będzie moją pierwszą uroczystością bezalkoholową – dodał z nutą zmartwienia w głosie.

– Nie martw się – Kasia dotknęła go delikatnie – tak cię zmęczone, że zapomnisz. Tylko wiesz – dodała – nie jestem pewna, że chcę być matka odchrzestną, czy to nie byłoby jakieś kazirodztwo?

– Na pewno nie, musimy się jednak poradzić księdza. To świetne pytania: czy apostata może współżyć ze swoją matką odchrzestną?

Kasia śmiała się razem z nim, ale coś ją niepokoiło – Chyba wolę być druhną, coś mi z tą matką nie pasuje. Trzeba również sprawdzić, czy ćwierćwierząca może być druhną apostaty. Świętoszek stanie przed największymi pytaniami swojego życia. Muszę coś zjeść, żeby nabrać sił na dalszą miłość – zaczęła naciągać na gołe ciało jego sweter – Idziesz ze mną do kuchni, czy chcesz kawę i grzankę z serem do łóżka?

– A zakładasz spodnie, czy idziesz tak jak jesteś?

– Hm – zastanowiła się – mogę iść tak jak jestem, chyba, że zmarznę.

Kasia wyciągnęła z szafki toster, nastawiła wodę na kawę i poszła po spodnie – Mistyczna nagość potem, a teraz sprawy doczesne- powiedziała – jak myślisz, czy można zaproszenie na ceremonie apostazji wywiesić w bibliotece?

– Nie, biblioteka powinna być światopoglądowo neutralna. Najpierw trzeba się zastanowić jak to urządzić w samej parafii.

– Moim zdaniem apostata powinien podjechać na osiołku, a druhowie konno...

– Z przyczyn technicznych ta wersja odpada. Gdybym miał więcej przyjaciół, wyobrażam

sobie kawalkadę cyklistów. Ustawowo potrzeba dwóch świadków, ale chyba prawo kanoniczne nie zabrania większej ilości.

– Tłum świadków, baloniki, błyski fleszy... – rozmarzyła się Kasia, wyciągając z tosterka grzanki.

– Tak, to powinno mieć uroczystą oprawę, będą wszyscy moi przyjaciele... czyli ty i któryś z pijaczków, któremu dam na piwo za usługę. Mógłbym poprosić Krzysztofa, ale zrobiłbym mu tylko przykrość, bo by mu było głupio odmówić. Więc będę miał ze sobą wszystkich przyjaciół, czyli ciebie, wspomnienie przeszłości, czyli jakiegoś pijaczka, który uczciwie zaświadczy, że nie mam ochoty pozostawać w fałszywych statystykach chrześcijan i wyjdę drugi raz narodzony, żeby wypić za nasze zdrowie szklankę soku pomidorowego.

– Jesteś pewien, że nie możesz poprosić Leszczyńskiego?

– Jestem pewien, że nie mogę zaprosić Leszczyńskiego, ale może będzie inna okazja, że by go zaprosić. Chciałbym, żeby tam był, i chciałbym, żeby był tam nasz Luter, tyle, że nie wiem gdzie go szukać.

– A może zaprosić Zielińską?

– Dobry pomysł. Pani redaktor zapewne chętnie przyjdzie, żeby zobaczyć pierwszą apostazję w Janowiepawłowie, może nawet zechce zaświadczyć, a na pewno zrobi kilka zdjęć, może zapisze w notatniku jak uroczyście się wyrzekam, może nawet opisze, chociaż tego akurat nikt jej pewnie nie wydrukuje.

– Smutno ci?

– Zwariowałaś, dlaczego? Dlatego, że mam dziewczynę, której ciągle pragnę, że chce mi się czytać i coś robić...

– Zjadaj szybciej tę grzankę i idziemy zaspakając pragnienia.

Po ostatnim wzlocie Kasia mruknęła, że Allach jest wielki i zapadła w sen. Maciek leżał z otwartymi oczyma i słuchając jej równego oddechu rozważał nad nieznanym mu dotychczas pojęciem uzależnionego filozofa, którego rzekomo był jedynym desygнатem. Zastanawiał się co może robić dyplomowany i mniej uzależniony filozof w mieście Lutra. Mógłby uczyć etyki, ale z tego, co czytał w Internecie, inwestycja czasu i pieniędzy w zdobycie dodatkowych kwalifikacji okazałaby się zapewne chybiona. W obliczu wzrastających oczekiwań społeczeństwa, Ministerstwo Edukacji Narodowej, po długich naradach z kościelną hierarchią, postanowiło powierzyć nauczanie etyki księżom oraz legitymującym się regularną obecnością na mszach wuefistom. Urzędnikiem być nie powinien, nawet gdyby go chcieli, pozostawało stworzenie własnej firmy z jedynym kapitałem w postaci jakiegoś chwytliwego pomysłu. Pomysłu też nie miał, gdyż chwilowo wszystko co mu przychodziło do głowy to intelektualna siłownia lub internetowe kursy etyki biznesu. To ostatnie sprowokowało go do głośnego śmiechu. Instyktownie przytulił Kasię, niepewny czy zdoła ją osłonić przed sobą.

Drugie narodzenie musi być przeprowadzone ostrożnie i z rozwagą. Jutro musi zamówić odpis świadectwa chrztu. Jeśli nie pobierają opłat za skreślenie z fałszywych statystyk, to będzie ostatnia danina na rzecz królestwa ciemności. Zazdrościł Krzysztofowi jego pasji szerzenia dobrego rzemiosła. Pomyślał, że gdzieś blisko musi być klucz do ciekawszej codzienności. Przypomniawszy sobie artykuł oglądanego przed południem prawa kanonicznego:

Ktokolwiek na stałe nie posiada używania rozumu, uznany jest za nieodpowiedzialnego i przyrównany dzieciom.

Tyle zmarnowanych lat, pomyślał zapadając w sen, czas się wypisać.

Dyrektor nie poszedł na mszę, bo do śniadania wypił o jeden kieliszek za dużo i miał wrażenie, że nie powinien. Domyślał się, że Wałach będzie mówił o kropli kleju, która jak łaża wypłynęła z miejsca po gwoździu, a ponieważ nie miał już koniaku, więc nalał sobie orzechówki. Praktycznie wszyscy potrzebujemy cudu, powiedział do Ani, zdając sobie sprawę z tego, że żona ma do niego delikatne pretensje.

Ania patrzyła przez okno, zastanawiając się nad pytaniem, czy nie zadzwonić do Halinki Dąbrowskiej. Jeśli pójdzie na mszę, to swoją obecnością da do zrozumienia, że mąż niedomaga, ale jeśli zobaczą ją przechodzącą koło kościoła, będzie to oczywista demonstracja. Niech mnie pocałują w chrześcijańskie wartości, mruknęła do siebie i wystukała wiadomość do Halinki, która już wcześniej napisała jej, że Kasia wprowadziła się do Maćka. Posprzątała ze stołu, schowała orzechówkę, pozmywała naczynie i ponownie spójrzała na komórkę. Halinka zapraszała na kawę.

Nie odzywała się do męża, co było w istniejącej sytuacji zrozumiałe, a zarazem praktyczne. Już w płaszczu pomyślała, że jednak nałoży trochę drogi, bo kiedy naród wali do kościoła, lepiej go jednak obejść.

Dyrektor usiadł przed komputerem i wystukał hasło „Zielona gęś” chciał sprawdzić, czy rzeczywiście współczesna młodzież może mieć trudności z przyswojeniem zawartych tam treści, albo raczej, czy w ogóle może cokolwiek z tego zrozumieć. Usłyszał stuknięcie zamykanych przez żonę drzwi w chwili, gdy otwierał scenkę o „Destrukcyjnym wpływie kobiet”. Autor, który założył tę stronę, dorobił współczesne komentarze internautów:

Destrukcyjny wpływ kobiet – nieznane ()

fukin shit

Destrukcyjny wpływ kobiet – llllllll ()

Kiedy czytam utwór czytam i tytuł i nadal nie widzę tu nic genialnego takie to dzieci w przedszkolu mogą czytać

Destrukcyjny wpływ kobiet – llllllll ()

podajcie mi jakiś powód żeby nie nazwać tego gównem

Destrukcyjny wpływ kobiet – Eugenn ()

kulturalni czytelnicy:P

Destrukcyjny wpływ kobiet – Andrzej ()

jakie gówno

Destrukcyjny wpływ kobiet – Andrzej ()

Lol

Powoli docierała do niego sama istota rzeczywistości, *ding an sich*, dotarcie do butelki z orzechówką zabrało mu dobre piętnaście minut. Nalał sobie obrzydliwie słodkiego płynu do kieliszka i powrócił do komputera. Zamierzał napisać Wielką Antycypację kazania Wałacha, ale zmienił zdanie.

Szanowni Rodzice, koledzy, droga młodzieży – zaczął pisać – Ja, jako dyrektor chciałbym powiedzieć, że ja jako historyk chciałbym zwrócić uwagę, że ta historia jest nie tego i w związku z tym, wszyscy powinniśmy wbić w nią zęby. Nie należy historii oszczędzać, należy się w nią wgryźć, musimy się rozsmakować w historii, poczuć w ustach jej smakowite kąski, poczuć ją w trzewiach.

Będąc człowiekiem zajęтым niesłychanie – dyrektor dopił orzechówkę z kieliszka i powrócił myślą do historii – wiem to moje lutowe przesłanie na drzwiach kościoła, iżby tradycji, czyli historii, stało się zadość.

Piecyk wciąż dymi, osiołka Porfiriona zatłukli słusznie oburzeni obywatele, historia nasza jest jak *fetus in fetu*. Jeśli państwo nie wiedzą do czego piję, też się napijcie. A ty, droga młodzieży, nie idź w ślady rodziców. Bo to bez sensu. Amen.

Zmęczony dyrektor kwestię doboru czcionki postanowił odłożyć na później. Ukrył ponownie pustą butelkę po orzechówce i w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku postanowił przespać się do powrotu żony.

Zasypiając znowu powrócił myślami do wczorajszej rozmowy z Martą, do jej opowieści o Patrycji i „Zielonej gęsi”, do wiecznych zarzutów siostry, że jest człowiekiem zajęтым niesłuchaniem, zajęтым zgadywaniem czego mogą od niego oczekiwać i co zrobić, żeby go lubili. Jakbym naprawdę powiesił na drzwiach kościoła to przesłanie, też by nie pomogło. Rodzeństwo nie powinno pracować w jednej szkole. Rodzeństwo powinno się rozejść i spotykać od wielkiego święta, pomyślał, zapadając w sen.

Super – powiedziała Justyna Zielińska na propozycję zostania świadkiem apostazji – ja też się wypiszę, A ty, Kaśka, co? Zostajesz na łonie? Zdecyduj się, będzie trójka apostatów i sześciu świadków. Biedny ksiądz Marek, może wpaść w depresję. Każdy dziennikarz powinien być jak korespondent wojenny, nie chować się za biurkiem.

Kasia niepewnie poprawiła okulary. – Nie wiem, czy mogłabym to zrobić matce, ona i tak ma ze mną pański krzyż – powiedziała.

– Mówiłaś o was matce – zapytała Justyna.

– Mówiłam, nawet to jakoś zaakceptowała, ale jej całe życie mieści się w trójkącie – ja, kościół i grób ojca. Suma kątów tego trójkąta dawno przekroczyła wszystkie limity.

– Ja mam dobrze z moimi, zaakceptowali, że jestem samorządnym i niezależnym związkiem organicznym, wymagającym finansowego wsparcia, myślę, że mnie będą nadal lubić nawet jako apostatkę... ale moim świadkiem możesz być?

– Jasne. Zastanawialiśmy się z Maćkiem jak się to powinno nazywać. Maciek chciał ze mnie zrobić matkę odchrzestną, ale zbuntowałam się ze względu na niebezpieczeństwo kazirodztwa.

Maciek wyszedł z kuchni z sałatką jarzynową i innym dobrem stosownym na drugie śniadanie. – Nie przesłyszałem się – zapytał – nie tylko zaświadczysz, ale i sama wychodzisz z łona i więcej nie wracasz?

– No – powiedziała Justyna – fajna heca. Już widzę minę księdza proboszcza. Co do tego potrzeba?

– Oświadczenie, odpis świadectwa chrztu i dwóch pełnoletnich świadków...

– Jak znam moją mamę, to odpis mojego świadectwa chrztu powinien być w domu, masz wzór takiego oświadczenia?

– Mam kilka wzorów, ale pewnie napiszę własny list, stosownie ugrzeczniony, coś w stylu, że ja, niżej podpisany zgłaszam się w obecności dwóch świadków, z pokorną prośbą o łaskawe skreślenie mnie z ewidencji członków Kościoła Rzymskokatolickiego, gdzie zostałem wpisany wbrew mojej wiedzy i zgody. Zaświadczam słowem honoru, że od chwili osiągnięcia możliwości używania własnego rozumu nie uczestniczę w życiu Kościoła, acz śledzę jego poczynania w środkach masowego przekazu i w książkach.

Pragnąc uporządkować mój stosunek do wieczności reprezentowanej tu przez proboszcza parafii rzymskokatolickiej w Janowiepawłowie, księdza Marka Wałacha, proszę równocześnie o formalne poświadczenie, iż moje nazwisko zostanie wieczyście wykreślone z wszelkich rejestrów wyżej wymienionego Kościoła i nie będzie więcej figurować w żadnych statystykach tej organizacji...

– Ostre – stwierdziła Justyna – daj mi jeden gotowy wzór. Jeszcze się zastanowię, czy pojedę gotowcem, czy będę coś tworzyć. Jak myślicie, zaprosić moje kuzynki na uroczystość apostazji?

Kasia była temu zdecydowanie przeciwna. Powiedziała, że Marek jest złośliwy i wykorzysta to przeciwko dzieciakom. Zauważyła przerażoną minę Justyny i dodała ze uśmiechem – Maciek wie, że miałam z nim romans, nie zamierzamy niczego przed sobą ukrywać, bo tylko tak może nam się udać jakaś fajna sprawa.

– A jak z twoim alkoholem – zapytała Justyna patrząc na Maćka.

– Chwilowo dobrze, za tydzień, dwa zaczną się schody, powinienem zacząć biegać, na wiosnę wskoczmy na rowery. Teraz jestem okropnie podekscytowany tym wszystkim, robię plany, jestem pewien, że tym razem się uda, ale potem na pewno będzie trudno. .. – Kasia położyła mu rękę na dłoni, a Maciek najwyraźniej postanowił zmienić temat, bo zapytał Justynę, czy wie kto jest Lutrem.

– W głowę zachodzę, nie mam pojęcia. Zabawne, bo trzy tygodnie temu pisałam artykuł o Lutrze. Taka wprawkę do studenckiego pisma, ale okropnie mnie to bawiło. Zaczynam podejrzewać, że to się nigdy nie wyjaśni. Ja myślę, że ten nasz Luter przycupnie teraz i będzie siedział cicho, bo w życiu nie podejrzewał, że tak narozrabia.

– Wszyscy zapomnieliśmy, że pani Groszek jest też polonistką i uwielbia Tuwima. Ona uczy w liceum. Spotkałem ją kilka razy na różnych wieczorkach. Coś mi ten Płaksin do niej pasuje.

– Nie sądzisz chyba, że to pani Groszek... – Justyna spojrzała na Maćka ze zdumieniem.

– Jej córka, Beata, mogła być sprawcą, albo przynajmniej udziałowcem...

– Wiesz, że ty też byłeś podejrzany – zapytała Justyna, a Kasia i Maciek wybuchli gwałtownym śmiechem.

– Kasia przyszła mnie ostrzec i już została. To było całkiem zabawne, Kasia przyszła, ja byłem przynapity i po rozmowie z żoną dyrektora. Kasia okropnie przejęta, że mnie podejrzewają, a ja płaczę z żalu, że to nie ja. Taki piękny pomysł i nie przyszedł mi do głowy... a Kaśka rozgląda się, patrzy na bajzel w mojej kuchni i zaczyna wrzeszczeć, zabrała się za zmywanie, sprzątanie, najpierw kuchni, a potem mówi idź pod prysznic, bo mi tu przeszkadzasz... wyszedłem spod prysznica, napiłem się kawy i zacząłem jej dziękować...

– Ty też jesteś podejrzana – powiedziała Kasia – twierdzą, że mogłaś to zrobić, żeby mieć o czym pisać...

– A ty z zemsty...

– Jeśli nie my, to kto... i jak zmazać nasz grzech niewinności – zastanowił się Maciek.

– Powiadasz, że niewinność jest grzechem – roześmiała się Justyna.

– Oczywiście – niewinność seksualna przeciągająca się ponad pewien wiek, prowadzi do zaburzeń; a niewinność intelektualna, grzech to, czy schorzenie? Kościół nasz wyrósł z grzechu pierwotnego ludzkości, z niewinności intelektualnej... – mówił Maciek coraz bardziej podniosłym tonem.

– Maciek co ty knujesz – powiedziała Kasia ostrzegawczym tonem.

– Musimy zmazać nasz grzech niewinności...

– Odmawiam. Apostazja i ani kroku dalej, żadnych tez na drzwiach kościoła Najświętszej Marii Panny. Potem będziesz chciał zakładać wytwórnię gwoździ do przybijania tez.

Mikołaj zebrał naradę wojenną i cała czwórka spotkała się u Pawła. Rysiek jak zwykle nawet nie odpisał na esemesa. Dominika i Beata zastukały do drzwi domu Pawła, otworzyła im jego matka i powiedziała, że Paweł pobiegł do sklepu i zaraz wróci. Zaprosiła je do środka, zaproponowała sok pomarańczowy i powiedziała, że ogromnie się cieszy, że może z

nimi pogadać.

– Słuchajcie dziewczyny, między nami kobietami, powiedzcie mi czy wy w szkole macie jakieś wychowanie seksualne, czy jak to się tam nazywa?

– Wychowanie do życia w rodzinie – odpowiedziała Beata.

– No tak, ale to się zaczyna na ogół poza rodziną, to nawet jest bardzo niedobrze, jak się zaczyna w rodzinie... – powiedziała pani Halina, a dziewczynki zachichotały.

– Powiedzcie mi trochę, jak to wygląda, kto i co wam na ten temat mówi?

– Trochę ksiądz, trochę pani od wos-u, trochę mamy na biologii – powiedziała Dominika.

– Ksiądz to wam nic mądrego na ten temat nie może powiedzieć, a co wam mówił pan Leszczyński?

– No głównie o doborze płciowym – zaczęła Beata, ale pani Halina natychmiast jej przerwała.

– Dobierać płciowo to się można, a nawet należy, ale czy wy wiecie co robić, żeby z tego jakiegoś nieszczęścia nie było? Miałyście może jakieś zajęcia z lekarzem, albo z pielęgniarką, czy wiecie co i gdzie można kupić, jak się to załatwia?

Beata się spieszyła, ale Dominika wzruszyła ramionami – Takich rzeczy to człowiek dowiaduje się z Internetu i od koleżanek, w szkole nam mówią tylko o świętości.

– A co, nie chcecie być świętymi – zapytała ironicznie pani Halina.

Dominika roześmiała się i powiedziała, że nie ma żadnych ambicji w tym kierunku, a Beata tylko skrzywiła się z niesmakiem

– A macie już jakichś chłopców – zapytała ostrożnie matka Pawła.

Zapewniły gwałtownie, że nie, że nie mają na to czasu i ucieszyły się słysząc stuknięcie drzwi i głos Pawła, który wracając spotkał po drodze Mikołaja.

W pokoju Pawła Mikołaj powiedział, że muszą coś zrobić, bo całe odium tej awantury spada na Leszcza. – Wygląda na to, że teraz mu jeszcze przypiszą winę za to, żeśmy się wypięli na Wałacha.

– Im bardziej go będziemy bronić, tym bardziej różni idioci będą mówili, że jest winny – rzuciła Dominika.

– No to musimy coś wymyśleć, żeby przestali się go czepiać – ciągnął dalej Mikołaj – przede wszystkim ktoś, kto przybił te tezy musi się przyznać...

– Nasyp mu soli na ogon – wtrącił się Paweł, wiesz może jak go znajdziesz?

– To przybijmy nowe tezy i się podpiszmy – zaproponował Mikołaj.

– Dziurka już jest, trzeba tylko wygrzebać trociny – roześmiała się Beata.

– O.K. ja daję wkład do tego interesu w postaci gwoźdźnia, Dominika wymyśla tezy, Mikołaj przybija, a Beata stoi na czujce – powiedział Paweł. – Pewnie pierwsza teza będzie taka: W imieniu Koła Badaczy Owadzych Nogów wzywamy do całkowitej eliminacji lęku przed pajakami.

– Przestań – rzuciła Dominika z irytacją – w ten sposób nic nie wymyślimy. Słuchajcie, ja mam głupi pomysł. Powiesić na drzwiach kościoła wezwanie do Lutra, żeby się przyznał...

– Mhm – mruknęła Beata z nutą ironii w głosie – zarządzimy w naszych tezach, że Luter ma się przyznać, ksiądz Marek ma przestać robić z gwoździ widły, kuratorium i policja mają odczepić się od naszego biologa, a wszyscy, którzy mają krasnoludki w piwnicach i garażach mają je na wiosnę wypuścić do lasu, a nie tylko do ogródka.

– Ty się śmiejesz, ale musimy przecież coś wymyśleć. W tym co mówisz coś jest, ale taką kartkę z drzwi kościoła zedrą i najwyżej nas objadą. A może ulotki?

– Ulotki – roześmiał się Paweł – u nas na ulicy? Ludzie by nas tak pogonili, że potem myślelibyśmy, że Wałach jest liberałem.

– To może list do gazety – zaproponowała Dominika.

– I co tam napiszemy, że nam biologa prześladowają i bardzo prosimy, żeby przestali... – nie przestawał krytykować Paweł.

– Nie – powiedział Mikołaj – taki list powinien być niby skierowany do dyrektora, ale pisany z myślą o gazecie. Piszemy o tym, że konflikt z księdzem trwał od dłuższego czasu i od dawna dojrzewaliśmy do rezygnacji z religii, że chcielibyśmy mieć zajęcia z etyki, ale nie mamy takich możliwości, że był incydent wywieszenia tych tez, i tu trzeba będzie je opisać, bo w końcu zabawne, ale my nie mamy z tym nic wspólnego, że próbowaliśmy dyskutować z księdzem o konflikcie między nauką i religią, ale odmówił wszelkiej dyskusji...

– A gdzie obrona Leszcza – zapytała Beata.

– Zakończymy stwierdzeniem, że to są nasze poglądy, nasze postawy i nasze decyzje i protestujemy przeciwko próbom obwiniania kogokolwiek za nasze poglądy. Jeśli z biologii jako nauki wynika najwięcej sprzeczności z tym, co nam mówią w kościele czy na lekcjach religii, to za to, że to dostrzegamy, nie należy winić nauczyciela biologii.

– I ty wierzysz, że ktoś to kupi – zapytała Dominika – wiesz o co oni mają do niego największe pretensje? O to, że uczy w taki sposób, że jesteśmy w stanie to zrozumieć.

14

W godzinach przeznaczonych na przyjęcia dla interesantów Maciej wybrał się do parafii i poprosił o odpis swojego świadectwa chrztu. W niewielkim pokoju, w którym ksiądz siedział za biurkiem, pod ścianą były również dwa krzesła, ale najwyraźniej ksiądz nie zamierzał prosić go, żeby usiadł.

– W jakim celu – zapytał – do ślubu?

– Do rozwodu – odpowiedział Maciek nieopatrznie, ponieważ nie planował dyskusji filozoficznych na tym etapie.

– Do rozwodu – zdziwił się ksiądz – ma pan na myśli starania o unieważnienie małżeństwa?

– Potrzebny mi odpis świadectwa chrztu i zdaje się, że mogę go tu dostać – powiedział Maciek, próbując przerwać dociekliwość księdza.

– O ile pamiętam – ksiądz nie zamierzał zrezygnować ze swojego prawa okazywania wyższości – nigdy pana w kościele nie widziałem.

– Ja pana też nie.

– Jak to, co pan chce przed to powiedzieć? A w ogóle to proszę się do mnie zwracać per "proszę księdza"...

– Pan nie widział mnie, a ja nie widziałem pana. Jest to dość naturalne, ponieważ nie chodzę do kościoła – Maciek zignorował żądanie księdza. – Czy mogę dostać odpis mojego świadectwa chrztu?

– Nie mogę wydać takiego świadectwa bez informacji do czego jest potrzebne.

– Dlaczego – zapytał Maciej, czując wzrastającą irytację.

– Ponieważ – odpowiedział ksiądz – mógłby pan potrzebować takiego świadectwa, żeby zostać na przykład ojcem chrzestnym, a wtedy musiałbym się przeciwstawić...

– Rozumiem – uśmiechnął się Maciek – jak powiedziałem potrzebne mi jest do rozwodu...

– To znaczy?

– Do rozwodu z Kościołem, jestem niewierzący, figuruję w kościelnych statystykach, nie chciałbym być nieuczciwy.

– Ma pan na myśli...

– Apostazję – dokończył Maciek.

– Chce pan powiedzieć, że nie tylko nie wierzy pan w Boga, ale jeszcze robi pan z tego demonstrację? Nie wstydzi się pan? Ja o panu słyszałem, dobrze wiem, kim pan jest. Pańska matka...

– Poproszę o wydanie mi mojego świadectwa chrztu i powiedzenie mi, kiedy mogę

przyjść, aby dokonać aktu apostazji – przerwał mu Maciek wyjmując z kieszeni portfel – ile to kosztuje?

– Dowód – warknął ksiądz.

Ksiądz odszukał właściwy segregator i zaczął wypisywać dokument pozwalając Maćkowi nadal stać przy biurku. Maciek żałował, że nie ma ze sobą niczego do czytania i z braku lepszego zajęcia zaczął obserwować widocznego za oknem psa na łańcuchu. Ksiądz zakończył wypisywanie świadectwa, przybił pieczętkę i podsunął papier w kierunku Maćka informując, że opłata wynosi dwadzieścia złotych. Maciek zapłacił, poprosił o pokwitowanie wpłaty i zapytał, kiedy może się zgłosić.

– Jeśli idzie o pokwitowanie to takich nie wydajemy, bo są to dobrowolne wpłaty na kościół, a ta druga sprawa, no nie wiem, ja jeszcze takiej sprawy nie miałem – odpowiedział ksiądz – muszą się zorientować, proszę przyjść za tydzień i się dowiedzieć.

– Potrzebne jest pisemne oświadczenie, odpis świadectwa chrztu i dwóch dorosłych świadków. Następny dyżur ma pan w środę, więc jeśli można przyjdziemy w środę – poinformował Maciek chowając dowód osobisty i świadectwo chrztu do portfela.

Leszczyński otrzymał formalny list z zawiadomieniem, że może odebrać swój laptop z prokuratury. Zadzwonił, żeby dowiedzieć się, do której godziny prokuratura zwraca zabrane przedmioty i ta sama anonimowa sekretarka co wcześniej poinformowała go, że do godziny trzeciej. Oznaczało to konieczność zwolnienia się z jednej lekcji, a dyrektor przy okazji zapytał go, czy śledztwo zostało umorzone. Nie wynikało to z pisma, które otrzymał z prokuratury i Leszczyński domyślał się, że umarzanie to długa i żmudna procedura.

Na miejscu, w prokuraturze zapytał, czy może otrzymać jakieś pismo stwierdzające, iż skierowane przeciw niemu i jego synowi podejrzenia okazały się całkowicie bezpodstawne, że fakt, iż niczego nie znaleziono, oznacza, że prokuratura nie miała uzasadnionych powodów do podejrzeń. Po tonie odpowiadającego mu urzędnika Leszczyński domyślił się, że obraził urzędową dumę pracownika państwowego i że zachował się niestosownie. Wyszedł z budynku ze swoim laptopem, który w tej sytuacji stanowił jedyny dowód, iż uzyskał status człowieka niezłapanego. Skorzystał z okazji i kupił dla Stasia dwie nowe bajki, a sobie dwie książki i zostawił w księgarni zdecydowanie za dużo pieniędzy. Wolność sprowadza na nas niebezpieczeństwo ulegania nałogom.

Do odjazdu autobusu pozostawała jeszcze godzina, więc wszedł do kawiarni i postanowił zobaczyć, co zrobili z jego komputerem. Jeszcze w prokuraturze, przed podpisaniem pokwitowania, sprawdził czy laptop działa, teraz jednak mógł obejrzeć go na spokojnie. Ustawienia były pozmieniane, ale do tego był przyzwyczajony, bo Stasiowi różne dowcipy się zdarzały. Automatycznie sprawdził historię ostatnich połączeń i ze zdumieniem stwierdził, że wszystkie były ze stronami z pornografią. Pomyślał sobie, że zapewne jakiś technik miał za dużo czasu, bawił się, a potem zapomniał wyczyścić historię, ale po chwili ogarnęło go przerażenie, że może to być prowokacja. Próbował wyśmiać te swoje lęki, jednak z każdą minutą ogarniała go coraz większa panika. Uświadomił sobie wszystkie informacje o pracownikach CBA namawiających do przestępstwa i wręczających łapówki, o ginięciu akt w prokuraturze i w sądach, o ludziach całkowicie bezradnych w obliczu samowoli urzędników państwowych.

W pierwszym odruchu chciał wrócić do prokuratury i zapytać, co oznaczają te połączenia. Doszedł jednak do wniosku, że nie będzie miał żadnych świadków, żadnych dowodów na to, że to nie były jego połączenia. Żyjemy w życzliwym państwie, często życzliwym dla znajomych, zawsze życzliwym dla hierarchów, rzadziej dla zwykłych obywateli.

Miał ochotę zadzwonić do żony, ale nie chciał jej straszyć. Pomyślał, że najlepiej pokazać

to komuś w redakcji gazety. „Wyborcza” pisała o zabraniu laptopa, więc sprawa może ich zainteresować.

Dziennikarz w redakcji początkowo niczego nie rozumiał. Nie słyszał nic o tezach wywieszonych na drzwiach kościoła w Janowiepawłowie, notki Zielińskiej nie czytał. Nie mógł zrozumieć dlaczego Leszczyńskiemu prokuratura zabrała jego laptop i dlaczego fakt, że ktoś oglądał na tym laptopie strony z pornografią miałyby być interesujący.

Kiedy Leszczyński już wychodził dziennikarz zdecydował się jednak na telefon do prokuratury. Przedstawił się i poprosił o rozmowę z prokuratorką Danutą Zając, która jak się okazało była znacznie łatwiej dostępna dla prasy niż dla petentów. Dziennikarz zapytał, czy jego rozmówczyni zna sprawę Krzysztofa Leszczyńskiego i czy wie, że miał odebrać zwolniony przez prokuraturę laptop. Dziennikarz uśmiechnął się i najwyraźniej powtórzył pytanie – dlaczego pytam, chciałbym się dowiedzieć, czy pan Leszczyński i jego pięcioletni syn są już poza podejrzeniami? Ja rozumiem, że niczego państwo nie znaleźli, ale pan Leszczyński coś znalazł. Przed godziną odebrał swój komputer z prokuratury i przed powrotem do domu obejrzał jego zawartość, okazuje się, że na tym komputerze ktoś ostatnio oglądał strony pornograficzne? Czy może pani to jakoś skomentować? Tak się domyślałem, że trudno by to pani było skomentować.

Dziennikarz słuchał przez chwilę, a potem podał Leszczyńskiemu słuchawkę. Pani prokuratorka powiedziała, że chciałaby się z nim zobaczyć, jeśli to możliwe, jeszcze dziś.

Leszczyński spojrział na zegarek. Jego autobus już odjechał, tak czy inaczej musiał czekać na następny, poza tym lepiej było wyjaśnić tę sprawę jak najszybciej. Pożegnał się z dziennikarzem, który dał mu swoją wizytówkę i poprosił o poinformowanie, jak się ta sprawa zakończyła. Ponownie poszedł do prokuratury, gdzie pani prokuratorka przywitała go przyjaźnie mówiąc, że w zasadzie podjęła już decyzję o umorzeniu śledztwa, że formalnie nastąpi to dopiero jutro, ale już dziś może go o tym poinformować. Jeśli idzie o tę pornografię, to rzeczywiście jest pewien problem, powiedziała po obejrzeniu komputera. Powiedziała, że gdyby chciała robić jakąś wielką sprawę, to musiałaby jednak zatrzymać ten komputer i to zapewne na dłużej, ale że oczywiście przekaze całą sprawę kierownikowi laboratorium, który z pewnością wyciągnie konsekwencje wobec winnych. – To znaczy, wie pan – dodała – trudno tu będzie ustalić kto jest winny, ale tak czy inaczej bardzo dobrze, że pan przyszedł, bo to oczywiście jest niedopuszczalne. Trzeba było od razu przyjść do nas.

Leszczyńskiemu zdawało się, że słyszy w jej głosie jakąś nutę irytacji, ale pani prokuratorka uśmiechnęła się i zapytała, czy woli zgłosić formalną skargę i zostawić komputer, czy wystarczy, że oni sami zdyscyplinują pracowników laboratorium?

Leszczyński nie był pewien co ma zrobić, ale ostatecznie zwyciężyła w nim chęć powrotu do domu z komputerem. Powiedział, że nie widzi powodu do składania formalnej skargi, a pani prokuratorka raz jeszcze zapewniła go z przyjaznym uśmiechem, że jutro wyśle zawiadomienie o umorzeniu śledztwa.

Ryszard rozmawiał z Lucy. Coraz częściej ostatnio rozmawiał z Lucy, która stała przy jego biurku na starym kiju od szczotki włożonym w porządną podstawkę. Matka Ryszarda nie była zadowolona z tej aranżacji. – Rysiu, tyś chyba znowu zwariował. Dlaczego ta czaszka nie może leżeć na twoim biurku, albo w szafie?

– Tak jest lepiej – odpowiedział jej syn – łatwiej sobie wyobrazić cały szkielet, a nawet żywą postać. Poza tym, tak się lepiej z nią rozmawia...

– Dużo ci już powiedziała?

– Niepokoi się o swoje potomstwo... – roześmiał się Ryszard.

– Czyli o całą ludzkość... a powiedz mi, czy na twoje urodziny ktoś jeszcze przychodzi,

czy zaprosiłeś tylko Lucy?

– Może Patrycja wpadnie na chwilę, chociaż nie jestem pewien, czy w ogóle wie, że to moje urodziny, bo ja jej nie mówiłem.

Matka Ryszarda przyglądała się przez chwilę synowi, musnęła delikatnie ręką jego włosy i bez słowa wyszła z pokoju. Ryszard spojrzął na Lucy i wzruszył ramionami – Sama widzisz Giocondo, że twój uśmiech niczego tu nie zmieni, rzeczywistość nie nadaje się do użytku.

Jak opowiadała Dominika Justynie Zielińskiej, historyk obraził się na stwierdzenie Mikołaja, że Reformacja była reakcją na zepsucie Kościoła. Kościół nie może być zepsuty, to ludzie są zepsuci, ryczał jakby go coś ukąsiło. Potem wrzeszczał na Mikołaja, że protestanci zawsze próbowali szkodzić Kościołowi i sprowadzili do Polski Szwedów, a w ogóle to mamy przestać mówić o Reformacji, bo tego nie ma teraz w programie.

– Ciekawa jestem, kto wpadł na pomysł powieszenia tych tez – powiedziała Justyna.

– Ale dlaczego ich to tak wścieka? Ktoś napisał, że chcemy wiedzieć co kryje się za horyzontem, no to co? Wszyscy dostali jakiegoś bzika.

– Nie pani Marta – przypomniała jej Justyna.

– No nie, nie pani Marta i nie Leszczyński, ale na nim to wszystko się skrupiło. Dlaczego oni się na niego uwzięli?

– Chciałabym o tym napisać dobry artykuł, który wzięłaby jakaś duża gazeta – zamyśliła się Justyna, mówiąc bardziej do siebie niż do swojej kuzynki.

– Ale to musiałybyś wiedzieć, kto jest Lutrem – roześmiała się Dominika.

– Niestety, obawiam się, że wiem – powiedziała Justyna, dając wyraźnie do zrozumienia, że nie zamierza dzielić się swoimi podejrzeniami.

15

Marta Piasecka usłyszała delikatne stukanie do drzwi. Za drzwiami była Patrycja, która weszła nieśmiało i jeszcze w korytarzu zapytała Martę czy lubi karmić ptaki. Ucieszyła się, kiedy Marta powiedziała jej ze śmiechem, że codziennie wysypuje na parapet okruszki, cofnęła się ponownie na klatkę schodową i przyniosła pokryty słomą karmnik.

– To dla pani – powiedziała – na urodziny Karola Darwina.

Marta wzięła karmnik i przyglądała mu się z zachwytem. Widziała już taki na oknie u Leszczyńskich. – Naprawdę zrobiłaś to dla mnie – zapytała – to musi być strasznie dużo pracy. – Przytuliła ją delikatnie jedną ręką i zaproponowała herbatę. – To opowiedz teraz jak też ja sobie zasłużyłam na ten wspaniały prezent i dlaczego o mnie pomyślałaś w związku z urodzinami Darwina?

Patrycja nie odpowiedziała. Usiadła w kuchni przy stole i patrzyła przed siebie. Marta nastawiła czajnik, wyjęła filiżanki i talerzyki na ciastka, postawiła karmnik na stole jak wazon z kwiatami. Przysiadła naprzeciwko dziewczynki, czekając aż się woda zagotuje i położyła jej rękę na dłoni. – No, opowiesz mi czym sobie zasłużyłam na ten prezent?

– Wszystkim – powiedziała Patrycja i Marta zobaczyła, że po policzkach spływają jej łzy. Mocno uściśnęła jej rękę i powiedziała, że robi herbatę. Kiedy wstała i odwróciła się do Patrycji tyłem, usłyszała ciche wyznanie:

– To ja powiesiłam te tezy na drzwiach kościoła.

– Domyślałam się tego – odpowiedziała Marta nie odwracając się od kuchni. Nalała herbatę i stawiając ją ostrożnie na stole spojrzała w oczy Patrycji.

– Nie gniewa się pani na mnie? – w oczach dziewczynki Marta widziała lęk, niemy krzyk

przeżalonego dziecka. Uśmiechnęła się, usiadła na krześle i przechyliła głowę w geście cierpliwego słuchacza. – Nie myśleliśmy, że z tego będzie taka awantura – ciągnęła dalej Patrycja – to był tylko żart.

Marta wsypała do swojej filiżanki kilka kryształków cukru. Udawała, że słodzi herbatę, żeby nie rezygnować z rytuału jej mieszania. Ostrożnie odłożyła łyżeczkę na stole. – Powiedz mi najpierw – zaczęła – skąd się na tej kartce wzięły odciski palców małego dziecka. – Zdumienie na twarzy Patrycji było potwierdzeniem, że udało jej się ją zaskoczyć. Jej spięta twarz rozjaśniła się uśmiechem.

– Sama się nad tym zastanawiałam, dopiero potem przypomniałam sobie, że tego wieczoru, kiedy pisałam te tezy, pilnowałam wcześniej córeczkę sąsiadów. Ona lubi jak jej rysuję, więc zawsze zabieram ze sobą papier i kredki. Musiała położyć łapkę na czystej kartce. Zastanawiałam się potem, dlaczego były tam odciski jej palców, a nie było moich. Po pierwsze jej łapki musiały być tłuste, po drugie jak zabierałam kupkę papieru do domu, to położyłam na wierzchu jakiś rysunek, w domu jak wkładałam papier do drukarki założyłam lateksowe rękawiczki...

– To teraz zacznij od początku – powiedziała Marta.

Patrycja zamyśliła się i dopiero po dłuższej chwili zaczęła swoją opowieść. – Wszystko się zaczęło jak się Dominika pokłóciła z Ryśkiem. Myśmy się zawsze z Ryśkiem bardzo lubili i Rysiek prosił mnie, żebym mu pomogła to wszystko naprawić. Spiskowaliśmy u niego w domu, ale nic z tego nie wychodziło, bo pani wie jaka jest Dominika. Zaczęłam pomagać mu z jego szkielecikami i tak jakoś wyszło, że coraz bardziej lubiliśmy być ze sobą... A z tymi tezami, to zaczęło się od artykułu Justyny. Wie pani, że Justyna Zielińska jest naszą kuzynką i ona napisała kilka tygodni temu artykuł o tym jak Luter przybijał te tezy. Zaczęła ten artykuł od tego, że wtedy kiedy Luter wieszał te tezy, Wittenberga była miastem wielkości naszego miasteczka. W Wittenberdze był uniwersytet, i mieszkał tam książę, a my mamy tylko kościół i gimnazjum. Siedzieliśmy z Ryśkiem i okropnie nas bawiło zastanawianie się nad tym, jakie tezy napisałby Luter, gdyby mieszkał w Janowiepawłowie. Najpierw wymyśliłam tę tezę o tym, że chcemy wiedzieć, co kryje się za horyzontem. Potem Rysiek dorzucił tę o globalnym ociepleniu w szkole. Nie wiedzieliśmy co dalej wymyśleć i zajęliśmy się czymś innym. Potem, po drodze do domu, przypomniałam sobie jak pani nie lubi naszego marudzenia, że tu się nic nie dzieje. Pani to mówi tak (Patrycja zaczęła udawać głos Marty): „jak chcecie, żeby się coś działo, to zróbcie COŚ. Urządźcie wystawę najbardziej nierasowych psów, albo zbieranie ulicznych śmieci w długich sukniach i białych rękawiczkach, albo konkurs milionerów rozpoczynających karierę od pucybuta. Przestańcie czekać, bo was nuda zabije.” Pomyślałam sobie, fajnie. To jest właśnie takie COŚ, które mogę zrobić sama, bez niczyjej pomocy. Powieszę 95 tez na drzwiach naszego kościoła... W domu napisałam chyba z dwieście tez, ale wszystkie były takie głupie, że nie mogłam na nie patrzeć. Myślałam, że zrezygnuję z tego pomysłu i może byłoby lepiej. Podarłam moje wszystkie tezy i na jakieś dwa albo trzy dni przestałam o tym myśleć. Potem znów ktoś powiedział, że tu jest nudno i pani znów się zdenerwowała, bo my rzeczywiście jesteśmy okropni. Jak pani powiedziała, żebyśmy zrobili konkurs fotografii nastolatków w naszym mieście i ktoś zapytał czy będą nagrody, to pani się chyba na nas obraziła. A ja już postanowiłam, że zrobię COŚ, tylko ciągle nie miałam tych tez.

– Czyli to jednak ja – powiedziała Marta, bardziej do siebie niż do Patrycji.

– No pewnie, pani jest najfajniejszą nauczycielką w całej szkole i pan Leszczyński..., wszyscy tak uważają – a potem zastanowiła się i dodała – nie, nie wszyscy.

– No to jak wymyśliłaś tych badaczy owadzich nogów?

– Najpierw był Płaksin, bo jak Dominika zerwała z Ryśkiem, to on był tak rozmazany, że nazywałam go Płaksinem. Tylko w myślach go tak nazywałam, nie chciałam mu robić przykrości, ale on mnie okropnie złościł tymi pytaniami o Dominikę i w ogóle...

- Ale skąd znalazłaś ten wiersz? – zapytała Marta.
 - To też przez panią.
 - Oczywiście, a możesz powiedzieć coś więcej.
 - Tuwim urodził się we wrześniu...
 - Kiedyś musiał...
 - W listopadzie był tuwimowski konkurs recytatorski – Marta pamiętała ten konkurs, ale nie zamierzała Patrycji przerywać – Dominika i Beata brały w nim udział i chciały, żebym im pomogła coś wybrać...
 - I wybrałaś „Chandrę Unyńską”...
 - Tak, ale im się nie podobała.
 - Czyli miałaś już podpis, a nie miałaś jeszcze tez...
 - No właśnie.
 - I co zrobiłam, żeby ci pomóc? – zapytała Marta.
 - Jest taka „Prośba o wyspy szczęśliwe” Gałczyńskiego...
 - W trzeciej klasie.
 - Ale ja mam siostrę – powiedziała Patrycja i powoli zaczęła pić herbatę.
- Najwyraźniej ta pierwsza runda wyczerpała obydwie, bo Marta przesunęła karmnik, podsunęła talerz z ciastkami bliżej Patrycji i sama wzięła jedno. Czuła na swoich barkach sympatyczny ciężar winy i niedosyt wiedzy.
- „Satyra na bożą krówkę” – Marta wznowiła przesłuchanie po krótkiej przerwie.
 - Jeden z najczęściej cytowanych w Internecie wierszy Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego – wyrecytowała Patrycja.
 - Inspirujący?
 - Jak się ma siostrę spokrewnioną z insektami... – powiedziała Patrycja, a Marta musiał ukryć uśmiech.
 - Rozumiem, że tarantula Dominiki nie jest twoją ulubienicą.
 - Z tarantulą łatwiej się dogadać jak z moją siostrą.
 - Więc badacze owadzych nogów...- zaczęła Marta.
 - Przyszli mi do głowy podczas którejś z rzędu sesji fotograficznej domowego pająka...
 - Jako akt małpiej złośliwości?
 - Może trochę – uśmiechnęła się Patrycja czarująco.
- Marta zdawała sobie sprawę z tego, że ta opowieść zajmie sporo czasu i postanowiła na chwilę zmienić temat. – Masz ładną broszkę – powiedziała – świetnie pasuje do dzinsowej kurtki. – Patrycja miała do kurtki przypiętą małą drewnianą rybkę z nóżkami.
- A to – uśmiechnęła się Patrycja – zrobiłam dla Justyny na anastazję, ale ułamała mi się nóżka i musiałam zrobić drugą, a tej przykleiłam nóżkę i jest moja.
 - Na jaką znowu anastazję – zapytała Marta.
 - No, to się nazywa apostazja, czyli wypisanie się z Kościoła. Justyna, pan Maciek postanowili się wypisać a pani Kasia z biblioteki była ich świadkiem. Ja to nazywam anastazją, bo tak mi się bardziej podoba, bardziej przyjazne. Też sobie urządzę anastazję na osiemnastkę. Zastanawiałam się jaki jej prezent zrobić i postanowiłam wyciąć rybkę Darwina. Miałam taką okropną rzeźbę z drzewa oliwki, którą ktoś przywiózł z Jeruzolimy, wycięłam cztery płatki i najpierw zrobiłam tę rybkę, potem lepszą dla Justyny. Dla pani też mogę zrobić.
 - Nie, dziękuję – odpowiedziała Marta – chwilowo zadowolę się karmnikiem dla ptaszków. To jak to było z tą apostazją? Wyście też były w kościele?
 - To było u księdza na plebanii, tam gdzie on przyjmuje interesantów, ale Justyna nie chciała nas zabrać, więc czekałyśmy pod kościołem, a potem poszliśmy wszyscy na pizzę. Okropnie się śmiałam, bo pan Maciek mówił, że mu na tym przyjęciu tego Lutra brakuje. Justyna mnie kopnęła pod stołem, bo Justyna się domyśliła wszystkiego i przed tą anastazją

powiedziała mi, że wie, że to ja, ale obiecała, że nie powie Dominice, bo Dominika by mnie zabiła.

– Czy ktoś jeszcze wie, czy tylko Justyna i ja – spytała Marta.

– No Rysiek wie, bo Rysiek mi pomagał.

– To wróćmy może do tych tez. Wymyśliłaś, że to będzie „Koło Badaczy Owadzych Nogów” i co było dalej?

– Potem była teza o bananach, więc miałam już trzy tezy, które mi się podobały. Potem ta nudna teza, że chcemy więcej wiedzy niż religii, pomyślałam sobie, że w tłoku ujdzie. A potem, potem oglądałam po raz sto pięćdziesiąty Shreka i spodobało mi się zdanie: I beg to differ, I do it all the time... i pomyślałam, że to też może być teza. A potem nie miałam już żadnych pomysłów i pomyślałam, że będzie śmiesznie jak pozostałe zapiszę do kategorii „inne”...

– Mów dalej – powiedziała Marta dolewając sobie herbaty.

– Kiedy miałam już wszystkie tezy nabazgrane na kartce i schowane w najciemniejszym kącie mojego biurka, zaczęłam się zastanawiać jak to powiesić na drzwiach kościoła. Wiedziałam, że gwóźdź powinien być ogromny. Zastanawiałam się również jak to przybić. Wyobraza pani sobie jaki to byłby hałas? Wzięłam moją wiertarkę, w zeszłym roku kupiłam sobie na pchlim targu śliczną ręczną wiertarkę, ma chyba sto, albo więcej lat, na korbkę, niemiecka, pokażę ją pani kiedyś, więc wzięłam tę wiertarkę i spróbowałam najpierw zrobić dziurkę w desce, a potem wcisnąć gwóźdź. Znakomicie działało. Stary, trochę zgięty gwóźdź można było cichutko wkręcić tak, że się go nie dawało wyjąć i nagle pojawił się problem, że to powinno być dość wysoko, a ja jestem niska. Rysiek, kiedy mu powiedziałam, najpierw myślał, że żartuję i się śmiał, a jak powiedziałam, że ja naprawdę chcę to zrobić, to się jeszcze bardziej śmiał i powiedział, że mi pomoże.

– I co wtedy myśleliście?

– Myśleliśmy, że ksiądz Marek będzie zły, że jak się Dominika dowie to też będzie zła, a inni będą się tylko śmiali. A tak naprawdę, to baliśmy się, że ksiądz Marek to po prostu zdejmie i nikt się o tym nie dowie. Musieliśmy to zrobić w nocy, albo nad ranem i to był największy problem.

– I jak to rozwiązaliście?

– A musi pani wszystko wiedzieć?

– Jak już zaczęłaś mówić...

– Tu jest część opowieści, którą mogę powiedzieć jak mi pani obieca, że nigdy nikomu pani nie powie.

– Dobrze – powiedziała Marta uroczyście – nikomu nigdy tego co mi teraz powiesz nie powtórzę.

Patrycja wpatrywała się w pustą filiżankę. – Bo widzi pani, zaczęła w końcu – to Rysiek powiesił te tezy...

– Ale mówiłaś, że to ty...

– Tak, to był mój pomysł, ja go do tego namówiłam i nie chcę, żeby było na niego. Rysiek ma okno na parterze i mógł rano wyjść tak, żeby go nikt nie zauważył, ale to była moja wiertarka, ja napisałam tezy i ja do tego namówiłam. Więc ma być, że to ja powiesiłam te tezy i już.

– Czyli to jednak jego widzieli wtedy koło kościoła?

– Chyba tak, baliśmy się, czy go ten pijaczek nie pozna, ale potem najgorsza była sprawa pana Leszczyńskiego.

– To dlaczego nie przyznałaś się?

– Bo Rysiek bał się, że jego ojciec będzie to strasznie przeżywał, a on jest chory na serce, a ja bałam się o Ryśka i to wszystko wcale nie było śmieszne. Dopiero kiedy Justyna powiedziała, że wie, że to ja, to pomyślałam, że nikt nie musi wiedzieć, że Rysiek brał w tym

udział.

Patrycja zamilkła, Marta również zajęta była swoimi myślami, bo zastanawiała się jak to wszystko rozegrać. Z zamyślenia wyrwał ją głos Patrycji – Muszę pani jutro zamontować ten karmnik tak, żeby go wiatr nie zrzucił. Trzeba wywiercić dziurkę w ścianie i przymocować go mocno drutem.

– To później – powiedziała Marta – niech sobie ten karmnik postoi u mnie na biurku. Ptaszki mogą jeszcze przez kilka dni zjadać okruszki z parapetu. Najpierw musimy przeciąć gordyjski węzeł. Chwilowo nic nikomu nie mów, nawet Ryškowi, obiecujesz? Wrócimy do tego, jak będę wiedziała jak to wszystko poukładać.

Po wyjściu Patrycji Marta zaniósła karmnik na swoje biurko i spojrzała na stertę zeszytów, a potem na zegarek. Dochodziła siódma, do dziewiątej powinna być gotowa. Przez dwie godziny próbowała skoncentrować się na wypracowaniach i postawiła więcej jedynek niż kiedykolwiek. Wreszcie dotarła do ostatniego zeszytu, szybko przeczytała wypracowanie, postawiła stopień i wrzuciła wszystko do torby. Sięgnęła po telefon i zadzwoniła do Justyny, która powiedziała, że oczywiście bardzo chętnie zaraz do niej przyjdzie. Marta zmyła naczynia i ponownie nastawiła wodę na herbatę. Justyna zastukała do drzwi dziesięć minut później.

– Tylko my dwie znamy tajemnice naszego małego Lutra w spódnicy – powiedziała, kiedy Justyna usiadła w kuchni z kubkiem mocnej kawy.

– Patrycja spódnicę zakłada raz w roku, na odebranie świadectw.

– I co o tym wszystkim myślisz?

– To taki piękny materiał na artykuł, ale wygląda na to, że nie będę mogła tego użyć. Myśli pani – zapytała Marty – że można coś zrobić, żeby im krzywdy nie zrobili?

– Im – Marta uniosła brwi udając zdziwienie.

– Im, tam jest ten chłopak, Ryszard, kompletnie w niej zadurzony. Ta smarkuła owinęła go sobie wokół małego palca.

Marta postanowiła zmienić temat – Opowiedz mi jak to było z tą apostazją, co ci strzeliło do głowy?

– To przypadek, Maciek chciał, żebym była świadkiem jego apostazji, więc to był impuls, pomyślałam, że jak mam być świadkiem, to dlaczego też nie mam tego zrobić.

– Dla śmiechu czy z przekonania – zapytała Marta.

Justyna zastanawiała się przez chwilę, najwyraźniej zbierając odwagę. – Czy pani jest wierząca – zapytała.

– Nie wiem – Marta po raz pierwszy uświadomiła sobie, że naprawdę nie wie, że sama sobie odpowiada na to pytanie po raz pierwszy. – Dawno temu przestałam chodzić do kościoła, potem przestałam się modlić, potem przestałam o tym wszystkim myśleć. Myślę, że moja wiara uschła jak roślina w doniczce i zapomniałam ją wyrzucić. Chyba nigdy nie była specjalnie mocna, ale jak Wojtyła został papieżem... pewnie teraz czarni Amerykanie tak przeżywają wybór Obamy, podejrzewam, że to nie miało nic wspólnego z religią, po prostu oszaleliśmy... Dlaczego pytasz?

– Bo ja też dawno temu przestałam chodzić do kościoła, też dawno temu przestałam się modlić i nie chcę, żeby mnie ludzie brali za kogoś, kim nie jestem. Więc to był impuls, ale jakby oczekiwany. Jezu, żeby pani wiedziała, jak ksiądz Marek na mnie wrzeszczał. Posłam do niego po świadectwo chrztu. Myślałam, że mam w domu, ale nie miałam, wchodzę tam, mówię jak trzeba „Niech będzie pochwalony”, ksiądz Marek cały się uśmiecha, pyta w czym może pomóc, ale jak powiedziałam, że potrzebuję świadectwa chrztu, to od razu zrobił się podejrzliwy, bo Maciek piętnaście minut wcześniej był po świadectwo chrztu i powiedział do

czego mu potrzebne. No to mu mówię, że chcę wystąpić z Kościoła, a on się zrobił cały czerwony na twarzy. Zaczął krzyczeć, że to jest zdradzanie wiary przodków, że skończę w piekle, że moi rodzice mi nigdy tego nie wybaczą. Potem się uspokoił i postanowił być chytry. „Czy zdajesz sobie sprawę, dziecko, co ty robisz?” Z trudem się powstrzymałam, żeby mu nie powiedzieć, co myślę o tym zwracaniu się do mnie per „dziecko”. Siedziałam cicho, bo nie chciałam robić awantur, a on mi tłumaczy, że przecież będę chciała mieć kościelny ślub, że mój przyszły mąż na pewno będzie katolikiem, bo tych ateistów to tak dużo nie ma, że uczciwi ludzie nie porzucają wiary. Zdenerwowałam się i powiedziałam mu, że uczciwi ludzie nie udają, że są kimś innym niż są i że nie rozumiem dlaczego mnie tak gorąco namawia do hipokryzji. Dał mi w końcu to świadectwo i jak dwa dni później przyszliśmy złożyć te papiery, ksiądz Marek był w kompletnym szoku jak zobaczył Kasię, bo nie wiem, czy pani wie...

– Wiem – powiedziała Marta.

– No właśnie, on się tego zupełnie nie spodziewał. Był cicho jak trusia. Przyjął te nasze papiery, podpisał i podstemplował kopie naszych oświadczeń i powiedział, że nie jesteśmy już chrześcijanami. Przez cały czas udawał, że nie widzi Kaśki, traktował ją jak powietrze. Nie wiem, chyba bał się, że ona mu zacznie mówić po imieniu. Tak czy inaczej, to wszystko poszło łatwiej niż myślałam.

– Czy on miał więcej takich historii jak z Kasią? – zapytała Marta.

– O jeszcze jednej dziewczynie wiem na pewno, ale podobno było dużo więcej.

– Tak – westchnęła Marta – moje zadanie nie jest łatwe, szantaż to bardzo brzydka rzecz, możesz mi opowiedzieć wszystko co na ten temat wiesz. Trzeba go będzie poprosić, żeby raz na zawsze zapomniał o tej całej historii.

Marta długo zastanawiała się, gdzie rozmawiać z bratem. W domu, czy w szkole? Ostatecznie zdecydowała się na rozmowę w jego gabinecie, żeby nie było świadków. Tak więc, dopiero następnego dnia powiedziała mu, że wie kto powiesił tezy na drzwiach kościoła i że nigdy mu nie zdradzi tej tajemnicy. Powiedziała mu jednak, że przyjmuje całą winę na siebie, że ma dowody, iż sama podsunęła ten pomysł i że na tym historia Lutra z Janowapawłowa się kończy. Przypomniała, że prokuratura umorzyła śledztwo i powiedziała, że ma poinformować burmistrza, że to ona, a nie Leszczyński, ponosi odpowiedzialność za tę całą historię. Pozostała jeszcze rozmowa z księdzem Markiem, z którym chciała porozmawiać tu, w gabinecie dyrektora szkoły, ale bez świadków.

Dyrektor patrzył na nią podejrzliwie, znał ją zbyt dobrze, żeby próbować oponować. Poprosił, żeby ksiądz Marek przyszedł do jego gabinetu, zadzwonił do burmistrza i zapytał, czy może do niego wpaść na piętnaście minut.

– Chciałam księdza poinformować, że udało się ustalić, kto powiesił tę kartkę na drzwiach kościoła – powiedziała Marta, kiedy Wałach wszedł do gabinetu dyrektora.

Oczekiwała na niego siedząc przed biurkiem brata. Kiedy ksiądz wszedł wstała, ale nie wyciągnęła ręki na przywitanie. Ksiądz niespokojnie spojrział na pusty fotel dyrektora, ale natychmiast zainteresował się przekazaną informacją.

– Kto to jest – zapytał.

– Ja – odpowiedziała Marta – zamierzam właśnie napisać list do kuratorium, że ponoszę całą odpowiedzialność za tę historię.

– Nic z tego nie rozumiem. Co pani tu opowiada – powiedział najwyraźniej zirytowany Wałach – Nie chce pani powiedzieć, że to pani wbiła w nocy gwóźdź w drzwi naszego kościoła.

– Niezupełnie, ale okazuje się, że osoba, która to zrobiła, działała pod moim wpływem. To

ja wielokrotnie namawiałam uczniów, żeby wykazali inicjatywę, żeby coś zorganizowali, ja im podsuwałam wiersze...

– Ale mam nadzieję, że nie namawiała ich pani do wandalizmu – przerwał jej ksiądz.

– Nie, nie namawiałam ich do wandalizmu i proszę mi wierzyć, że osoba, która to zrobiła, żałuje, poniosła dotkliwą karę i za moim pośrednictwem przeprosza.

– Żądam ujawnienia nazwiska tego ucznia – ksiądz Wałach podniósł głos – ta osoba, jak ją pani określa – powinna ponieść konsekwencje swojego czynu, znaleźć się pod publicznym pręgierzem, tymczasem z tego co pani mówi, rozumiem, że pani zamierza ją chronić...

– Dobrze ksiądz rozumie. Zamierzam chronić ją i być może będę również chronił księdza. Porozmawiajmy najpierw o tych pręgierzach. Stara instytucja, niektóre były przed ratuszami, niektóre przed kościołami, chociaż przed kościołami częściej były dyby.

– Proszę pani, ja nie mam czasu na takie głupie rozmowy. Będę się stanowczo domagał ujawnienia sprawcy.

– Obawiam się, że ksiądz może również znaleźć się pod pręgierzem. Nigdy nie interesowały mnie intymne związki bliźnich. Jeśli są dorośli, to ich prywatna sprawa. Ksiądz zdaje się bardzo lubi kobiety, co oczywiście jest zdecydowanie lepsze niż seksualne zainteresowanie nieletnimi...

– Wypraszam sobie te insynuacje, nie zamierzam tego słuchać – powiedział Wałach podniesionym głosem.

– Są trzy kobiety gotowe publicznie powiedzieć o swoich związkach z księdzem, są również dowody rzeczowe.

– Co pani chce przez to powiedzieć?

– Chciałabym powiedzieć, że pręgierze to pamiątka po obrzydliwych metodach stosowanych w przeszłości, zaś ksiądz po chrześcijańsku zapomni o całej tej sprawie i nigdy nie będzie do tego wracał. – Marta wyjęła z torebki kopertę. – Jeśli otrzymam od księdza przyrzeczenie, że nigdy więcej o tej historii naszego Lutra ksiądz nie będzie wspominał ani w kazaniach, ani na posiedzeniach rady parafialnej, ani w szkole, to te zdjęcia zostaną zniszczone.

Wałach wyciągnął rękę, ale Marta schowała kopertę ponownie do torebki.

– Musi księdzu wystarczyć moje słowo. Chciałam księdzu przypomnieć, że jedna z księdza kochanek nie ukończyła jeszcze osiemnastu lat. Nie jest to naruszenie prawa, ale jest to poważne naruszenie etyki zawodowej, jeśli księża posługują się tym pojęciem.

Wałach stał na środku gabinetu z czerwoną twarzą, na której malowała się wściekłość. Marta miała dziwne wrażenie, jakby jego koloratka była nieco za ciasna. Spojrzała na zegarek. – Czy ksiądz potrzebuje czasu do namysłu? Pręgierz opinii publicznej czeka, ale nie może czekać zbyt długo.

– To co pani robi jest obrzydliwym szantażem jakim posługują się ludzie bez żadnej moralności.

– Zgadzam się z księdzem, ale mając do czynienia z osobą tak świątobliwą i tak moralną obawiam się, że nie miałam wyboru. Co ksiądz wybiera, pręgierz opinii publicznej, czy chrześcijańską wyrozumiałość, proszę odpowiedzieć, bo nie mam czasu na dalsze dywagacje.

– Bóg panią za to skaże – wysapał z siebie Wałach odwracając się do drzwi.

Marta nie miała wątpliwości, że była to pozytywna reakcja na szantaż.

Na kolejne spotkanie z dyrektorem Marta musiała poczekać do ostatniej lekcji. Na początku rozmowy wręczyła mu kopertę, tę samą, którą wcześniej pokazywała Wałachowi, informując, że jest w niej kilka zdjęć z ich młodości. Dyrektor spojrzał na nią pytająco.

– Szantażowałam księdza Marka twierdząc, że mam zdjęcia, których oczywiście nie mam.

Szukając wczoraj wieczorem zdjęć, które mogłabym włożyć do tej koperty, wzięłam do ręki album, którego nie oglądałam od lat. Wszystkie zdjęcia w tej kopercie są z późnej jesieni 1981 roku. Zdjęcia szczęśliwej studentki medycyny i ambitnego studenta historii. Niektórzy mówili, że jesteśmy najbardziej różnymi bliźniakami pod słońcem. Ludzie dziwili się, kiedy mówiliśmy, że jesteśmy rodzeństwem i wpadali w osłupienie słysząc, że jesteśmy bliźniakami. Zawsze byłeś zajęty niesłuchanie robieniem kariery, chociaż ambicje miałaś znacznie większe, czasem się nawet zastanawiałam, czy przyzwoitość cię zatrzymała, czy brak talentu. Pewnie tylko przypadek, kilka razy postawiłaś na złego konia, ale też konie padły jak muchy... Wyleciałam ze studiów, bo byłam nieostrożna, albo nierozważna, a ci, którzy robią kariery, robią je na lojalności, a nie na tym, że dbają o talenty. Kiedy w końcu zrobiłam inne studia i zaczęłam pracę, wiedziałam jedno, że nigdy nie pozwolę odbierać młodym ludziom szans. Jestem tu po to, żeby tym dzieciakom otwierać szanse, a nie zamykać. Wołałabym, żeby te dzieciaki przychodziły w potrzebie do ciebie, bo to ty z urzędu masz chronić ich charaktery i ich talenty. Kiedyś jakiś sukinsyn postanowił, że trzeba mnie wyrzucić, kilka tysięcy studentów trzeba było wyrzucić, żeby kilkuset łajdaków z tytułami mogło dać dowód swojej lojalności.

– Nie chcesz chyba powiedzieć – zaprotestował jej brat.

– Chcę powiedzieć, że byś się skręcał i miałbyś wyrzuty sumienia, ale gdyby ci kazano to podpisałbyś zwolnienie Leszczyńskiego, chcę powiedzieć, że nie zdradzę ci nazwiska osoby, która to zrobiła, bo nie mogę być pewna twoich reakcji. Chcę powiedzieć, że byłam głupią i naiwną gęsią nie umierając sobie nawet wyobrazić, że czerwonych mogą zastąpić czarni, a tłumek lizusów w tle zostanie ten sam; wreszcie chcę ci powiedzieć, że zamierzam oficjalnie wystąpić z Kościoła.

– Nie zrobisz mi tego...

– Tobie? Nie, sobie to zrobię, sobie i dla własnej przyjemności, z czystej ciekawości jak zareaguje kuratorium, burmistrz i dyrektor szkoły, w której pracuję. Podejrzewam, że moja apostazja będzie kolejnym gwoździem sezonu, może nawet tematem kazania w naszym kościele, chociaż podejrzewam, że ten typ przynajmniej przez jakiś czas będzie siedział cicho. Ta koperta z moimi zdjęciami zrobiła na nim duże wrażenie.

Kasia z zainteresowaniem czytała najnowszy plód Maćka o intelektualnej antykoncepcji „*Wychodząc z założenia, że każdy lubi bezkarnie pieprzyć od rzeczy – pisał Maciek – Kościół propaguje od wieków antykoncepcję intelektualną. W odróżnieniu od wypracowanej przez medycynę antykoncepcji, która skutecznie zapobiega zapłodnieniu podczas stosunku płciowego, intelektualna antykoncepcja jest znacznie bardziej naturalna, gdyż nie odwołuje się ani do chemii, ani do sztucznych fizycznych barier w rodzaju prezerwatyw. Antykoncepcja intelektualna jest, że tak powiem, ekologiczna. Polega ona na zaszczepianiu młodym umysłom mitów uodparniających na rzeczywistość, a z drugiej strony na ograniczaniu zapału i pędu do wiedzy oraz ograniczaniu technicznych możliwości korzystania z niej. Właściwie stosowana intelektualna antykoncepcja jest niemal w stu procentach skuteczna.*

Aczkolwiek intelektualna antykoncepcja znakomicie zwiększa zakres społeczny pieprzenia od rzeczy, nie wszystkie cele daje się tu osiągnąć. Jeśli jednym z celów było tu całkowite zastąpienie antykoncepcji medycznej antykoncepcją intelektualną, to akurat na tym polu efekty są ograniczone i zgoła malejące. Na innych polach wszelako efekty są imponujące, a co więcej kumulują się z generacji na generację.

W dziedzinie intelektualnej antykoncepcji jesteśmy bez wątpienia światową potęgą, a nasi specjaliści są obecni w wielu krajach, nie tylko propagując techniki intelektualnej antykoncepcji, ale i ucząc się jej stosowania w innych warunkach bojowych.

Wydaje się, iż najwyższa pora aby założyć „Polskie Stowarzyszenie Rozwoju Antykoncepcji Intelektualnej”. W żadnym przypadku Polska nie powinna się wstydzić swoich osiągnięć na tym polu i winna szeroko informować światową opinię publiczną o naszych osiągnięciach.”

– Fajne – powiedziała Kasia doczytawszy do końca – a teraz trzeba się zastanowić co dalej.

– Z czym – zapytał Maciek.

– Z życiem bez protez – odpowiedziała Kasia bibliotekarka.

Janowopawłowo Małe, 28 kwietnia AD 2009.